



w Warszawie kwartalnie rs. 1 k. 50, na prowincji, w Cesarstwie i za granicą półrocznie w Kopertach rs. 4 kop. 75. Numer pojedynczy kop. 15.
 Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych i w Redakcji w Warszawie przy Ulicy Żabińej Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

Treść Numeru: Pamiętniki wygnańca (dalszy ciąg). — Droga do serca. Komedja opowiedziana przez Wołodego Skibę (Dalszy ciąg). — Korrespondencja z Niemiec Do kwiatka w zielniku (wiersz). — W pałacu i w chatce powieść Berthold'a Auerbach'a, przełożona z niemieckiego przez J. Belejowską (dalszy ciąg).

KARTKI Z PAMIĘTNIKÓW WYGNAŃCA

Z FRANCUSKIEGO.

(Dalszy ciąg)

XI.

Przybywszy do Lynmore, zastaliśmy już wszelkie przygotowania do ulubionej gry *cricket'u*. Na placu zwanym *Cricket ground* stały wielkie namioty, w których cisnęły się tłumy graczy i widzów.

Trudno sobie wystawić szalone zamiłowanie angiłów wszystkich stanów do tej gry ulubionej, którą za narodową uważają; młodzież, starcy, kobiety nawet, są w stanie całe godziny grać w nią lub przyglądać się grającym, a zajęcie jakiegoś lorda wywołuje, łączy w jednym uczuciu najmłodszego lorda i najuboższego wyrobniaka.

Gra w *cricket* wymaga dwóch współzawodniczących partij, każda po jedenaście osób, a każdy pojedynczy gracz, przyjmuje solidarny udział, czy to w porażce czy w wygranej swych współtowarzyszy. W pobliżu każdego miasta i wsi, znajduje się równy, ogrodzony plac dla gry tej przeznaczony; w Lynmore zajęto na ten cel pewną część *kommonu*. Grunt taki jest najstaranniej wyrównany i pokryty pięknie utrzymaną murawą. Gdy już gra ma się rozpocząć, wtedy, wedle umówionej odległości, stawia się barjera urządzona z trzech pali, lekko wbitych w ziemię w prostą linię, i z dwóch opartych na nich sztuk drzewa. Przy jednej barjerze staje tak zwany *bowler* czyli rzucający kule, przy drugiej zaś *batter* trzymający w ręku drewnianą paletę, t. j. deseczkę z rączką, którą broni swęj barjerę od pocisków kuli przeciwnika. Zadaniem jest *bowler'a* tak rzucać kule, aby przewróciła pal przeciwległej barykady. *Batter* powinien pochwycić kulę na swą deseczkę, i tym sposobem nie dozwolić jej uderzyć o pal i oddać ją jak najdalej; zaś dziesięciu *fieldsmen'ów*, których można nazwać adjutantami *bowlera*, puszczają się przedko w pogoń za odrzuconą kulą, a *batter* znowu biega wtedy nieustannie od jednej do drugiej barjerę. Zazwyczaj zwycięstwo zależy od większej lub mniejszej liczby tych kursów odbywanych między barjerami, bo jeśli pomocnicy *bowlera* pochwycą i oddadzą mu kulę, zanim *batter* powróci na swoje miejsce, tenże musi usunąć się od gry i oddać paletę komuś ze swych towarzyszy. Gdy już wszyscy

jedenastu *batter'owie* używali palety, zostają znów z kolei *bowler'ami* i *fieldsmen'ami*.

Oto krótki opis gry *cricketu*, która wydaje się nioby bardzo prosta, a jednak ma swój kodex, obejmujący aż 38 artykułów. Każda partja przed rozpoczęciem gry, wybiera sobie sędziego polubownego, mającego stanowić w kwestjach spornych.

Gra ta wymaga nadzwyczajnej zręczności, biegłości, wprawy i nadzwyczajnej uwagi, a najwięcej ożywia ją owa solidarność wiążąca z sobą wszystkich partnerów.

Jeśli w jakiejś miejscowości zbierze się dostateczna liczba *criceter'ów*, zawiązuje się klub, którego członkowie wybierani przez balotowanie, zajmują się utrzymywaniem *Cricket ground'u*, z pomocą dobrowolnych składek. Gdy klub taki zostaje wyzwany przez inny, wyznacza wtedy do walki swoich najlepszych i najdoświadczeńszych *bowler'ów*, ci dobierają sobie kapitanów, którzy znowu zajmują się uorganizowaniem całej partji. Klubów tych jest w Anglii niezliczona liczba, i noszą najróżnorodniejsze nazwy, np. *Zingari*, — *Gentlemen of England*, *Oxford*, *Cambridge*, *Harrow*, *Eton*, i t. p. — Ale współzawodniczenie to nie ogranicza się do samych tylko wsi i miast, odnosi się do hrabstw całych; północ Anglii wyzywa południe, — a nie dość na tem — *cricketery*, przebywają ocean, aby walczyć z klubami Kanady i Ameryki. Gra ta tak głęboko zespoliła się z życiem ludności, tak głębokie budzi w niej zajęcie, że ma oddzielne swoje dzienniki, przeglądy i roczniki.

Na ten turniej *lynmorski*, zjechali się wszyscy obywatele okoliczni oraz tłumy mieszczan i wieśniaków, i wszyscy z jakimś gorączkowym zajęciem czekali rezultatu walki, robiąc znaczne zakłady za jedną lub drugą stronę. Pan *Norris* został obrany arbitrem przez klub *lynmorski*, i z resztą jako zapalony wielbiciel *cricketu*, nie byłby i tak opuścił pola walki przed jej rozstrzygnięciem. Mnie coś ciągnęło do *Lodge*, chętnie więc przystąpiłem na żądanie pastora *Leslie*, aby nie czekając końca gry i długiego po niej obiadu, udać się do pani *Mason*.

— Godna uwagi, rzekłem do p. *Leslie*, idąc z nim krętą drożyną prowadzącą do *Lodge*, jak nawet w swoich grach i zabawach, Anglja przedstawia wybitnie właściwe sobie cechy: energję, karność w działaniu, wytrwałość, spojność klas społecznych, a nade wszystko tę dumę zbiorową, która was wszędzie roznamiętnia i podtrzymuje, skutkiem czego, jakkolwiek nie ma może na świecie kraju, gdzieby wybitniej odbijały różnice społeczne, nigdzie jednak jednostki nie mają więcej sposobności spotkania się i jednoczenia z sobą. Dziwna doprawdy, iż lud tak

zimny, tak sztywnie poważny, potrafił wytworzyć tyle sposobności do wesołych zgromadzeń i uroczystości, gdy tymczasem inne narody z natury żywe, wesołe, zupełnie zarzuciły wszelkie zwyczaje i zabawy naddziadów, łączące z sobą jednym ogniwem wielkich i małych, bogatych i biednych. Niestety! dziś miejsce dawnych wspólnych zabaw i uroczystości, zajęły uciechy osobiste, kastowe i samolubne z wielką szkodą jedności społecznej i dobra ogółu.

W *Lodge* zastaliśmy tylko panią i panny *Mason*; pan *Mason* nie wrócił jeszcze z obiadu klubu *cricket'ów* którego był członkiem. Nigdy jeszcze nie widziałem p. *Leslie* tak pomieszany i ożywiony zarazem: w dniu tym bowiem postanowił stanowczo przekonać się o uczuciach dla siebie *miss Róży*, aby wiedzieć czy może prosić p. *Mason* o jej rękę. I tak jakoś zajęli się sobą, iż o całym zapomnieli świecie.

Po niejakiem czasie, pani *Mason* wyszła z salonu; ja usiadłem przy *Mary*, która wydała mi się piękniejszą niż kiedykolwiek, — tak dawno nie rozmawialiśmy z sobą, tak pragnąłem podobnej chwili, a teraz wpatrywałem się w nią z uwielbieniem i słowa wymówić nie mogłem. *Miss Mary* była dziś jakaś smutna i pomieszana. Nareszcie nadszedł pan *Mason* z pastorem *Norris*; rozmowa stała się ogólną, a po herbatce pożegnaliśmy się, gdyż nazajutrz miałem wraz z p. *Norris* wyjechać na kilka dni do Londynu, gdzie podjąłem się zakupić książki do biblioteki jaką *miss Mary* założyła miała.

Widać milezący i zazwyczaj małomówny *Leslie* lepiej korzystał z czasu, bo wychodził dziwnie ożywiony i rozpromieniony.

(d. c. n.)

DROGA DO SERCA.

KOMEDJA OPOWIEDZIANA

PRZEZ

Wołodego Skibę.

(Dalszy ciąg).

Ten manewr strategiczny panny *Borskiej*, nie mógł ujść uwagi pana *Rafała*, i sparaliżował słowa które już miał na ustach. Zamiast powiedzieć przygotowany frazes, rzekł sobie tylko w duchu: — Dzika...

Tymczasem pan *Jan* nie ustawał w zdobywaniu

sobie życzliwości matki, o której sprzyjaniu swoim widokom, jak to wiemy, już się poprzednio przez korespondencją upewnił.

— Być może, pani, — mówił, — żem się zagranią nauczył mówić prawdę tym samym językiem, jakim Paryżanie pochlebiać tylko potrafią.

— To jest, żeś pan swym wzorom dorównał w całości, — odpowiedziała śmiejąc się wdowa, — choć przez skromność tylko do połowy się przyznajesz.

— Pani jesteś nieubłagana... — zaczął pan Jan.

— Oh! bynajmniej, panie, — z tąż sama wesołością odrzekła pani Borska, — nie znajdziesz pan kobiety, któraby nie przebaczyła zręcznego pochlebstwa, choć ztąd że przebaczymy, nie trzeba wznosić żębyśmy w nie wierzyły.

Pan Rafał zbity cokolwiek z tropu, nie wiedział jak znajdować się dalej. Jednym uchem słuchał rozmowy stryja, drugim czatował czy panna Julja doń nie przemówi, a w głowie szukał sposobu odezwania się, ażeby nie być milczącym do śmieszności. W tem pomięszaniu, wykonał nie zdając sobie z tego sprawy, odwrotny manewr z krzeselkiem. Odległość między nim i panną Julją powiększyła się jeszcze bardziej.

— Zrozumiał, — pomyślała nasza bohaterka.

Pani Borska rozmawiając z panem Janem, nie spuszczała jednakże z oka córki, z której milczenia zapewne bynajmniej nie była rada. Małomówność pana Rafała również nie musiała jej się spodobać. Pragnęła jak najprędzej usunąć tę nieśmiałość i etykietalność, jaką okazywało między sobą dwoje młodych ludzi, według jej planów i układów przeznaczonych wzajem dla siebie. Postanowiła zatem nie tylko wciągnąć do rozmowy pana Rafała, ale nadto dać mu sposobność do rozpoczęcia tej konkurencji, którą po projektach i zamiarach jakie powzięła, uważała już tylko za prostą formalność, lecz za formalność konieczną.

— Pan jest amatorem muzyki... znawcą nawet, panie Rafale, — rzekła zwracając się do niego.

— Znałstwa przypisywać sobie nie śmiem, — odrzekł pan Rafał, — ze wszystkich jednak sztuk muzykę lubię najbardziej.

— W tem masz pan gust wspólny z Julcią, — mówiła dalej matka, — pamiętasz pan, że już przed dziesięcią laty, będąc małym dzieciakiem zaczynała się uczyć... teraz jest skończoną artystką...

— Oh! mam, zaprotestowała panna Julja.

— Nie zapieraj się, moje dziecko — jest to zdanie wszystkich twoich nauczycieli, a miałas najlepszych. Gościnność każę miłych gości przyjmować czem chata bogata, — więc się popiszesz ze swoim talentem, a pan Rafał zbyt ostrym krytykiem nie będzie.

— Ależ mam, ja grać nie mogę... — odrzekła jedynaczka.

— Jeżeli prosby mego stryja i moje coś znaczą... zaczął pan Rafał.

— Mego synowca i moje... — wstawiał się jednocześnie pan Jan.

— Mama poświadczy, że przed godziną miałam przypadek z igłą... — broniła się panna Julja.

— Jestem przekonana Julciu, — odrzekła pani Borska, — że to co zaszło przed godziną wyszło ci już z paluszka i z pamięci, i że gdzie nie ma przeszkody rzeczywistej, tam jej wynajdywać nie będziesz.

Jedynaczka zrozumiała ukryte znaczenie tych wyrazów, powiedzianych tonem łagodnego, ale stanowczego napomnienia. Matka nakazywała jej nie tylko grać, ale nie opierać się innemu, daleko ważniejszemu swemu życzeniu, i sposobem jakim to mówiła dawała uczuć, że wola jej spełniona być musi nie tylko co do muzycznego popisu, lecz także co do tego innego życzenia. Nie widziała w tej chwili środka oporu, a energii w sobie nie uczuwała dostatecznej; może też tłumaczyła sobie, że uległość artystki nie pociąga za sobą konieczności uległości panny na wydaniu, i odrzekła z rezygnacją:

— Sonatę Beethovena, jeżeli panowie pozwolą... chociaż dotychczas nie dość wystudjowałam *allegro*.

— Pani, prawdziwą jest rozkoszą słyszeć mistrzowskie dzieła, wykonywane przez osoby kochające sztukę i traktujące ją poważnie, dla tego pozwól dani ze z góry podziękuję za wybór... — potoczył się wyrzekł pan Rafał.

I to odezwanie się nie wywołało żadnej ze strony jedynaczki repliki.

Powolnie i ze źle tajoną niechęcią, zbliżyła się do stojącego w salonie pianina i zaczęła przeglądać nuty.

— Co do nas, panie, — zwróciła się pani Borska do pana Jana, — jako młodszy artyści, a praktyczniejsi i starsi ludzie... mający losy młodszego pokolenia na głowie... powinniśmy zaraz dzisiaj rozjaśnić niektóre szczegóły ostatniej pańskiej korespondencji...

— Z ochotą pani służyć jestem gotów, — odrzekł pan Jan.

— A więc... proszę... Taki znawca jak pan Rafał jest dostatecznym dla mojej Julci audytorjum.

Pan Rafał skłonił się za komplement, i w chwili gdy panna Julja uderzyła pierwsze takty nieodzownego improwizowanego preludjum, matka i stryj wyszli z salonu.

V.

Gdyby owo dwuznaczne i dla panny Julji jedynie zrozumiałe napomnienie matki, ażeby nie wynajdywała przeszkód tam gdzie ich nie ma rzeczywiście, nie ostrzegało naszej bohaterki, że pani Borska jej opozycji nie przypuszcza i wcale na nią zważać nie myśli, ostrzedz by ją musiały o tem ostatnie słowa rozmowy z panem Janem, ostrzedz by ją musiało także i to, że pozostawiona została sama z tym, któremu była przeznaczona. Matki panien na wydaniu są w ogóle doskonałymi dyplomatkami, i w takim tylko razie pozwalają swym córkom na tego rodzaju konferencje, jeżeli to się zgadza z ich widokami, jeżeli to ma ułatwić bliższe zaznajomienie się, którego pragną, lub wywołać wyznanie które przyjąć pozwalają. A przytem owa korespondencja, o której pani Borska do pana Jana mówiła, czegoż dotyczyła mogła jeżeli nie układów o wydanie jedynaczki za pana Rafała?... Choćby jej matka nie dała tego zrozumieć przed godziną, teraz przyjsz by jej to musiało na myśl samo przez się.

Coraz większe niebezpieczeństwo zagrażało swobodzie jej wyboru, coraz większem stawało się prawdopodobieństwo, że będzie zmuszoną uleść przymusowi moralnemu, gdyż coraz mniej posiadała środków na swą obronę. Zrazu liczyła na efekt niewielkiego ubrania, efekt ten jednak straconym został częścią przez pomyłkę, gdy brała pana Jana za pana Rafała, częścią przez słabość kobiecą, która jej nie pozwoliła pokazać się ubraną nie dotwarzy jakiemś nieznanemu mężczyźnie. Kiedy ten środek jej się wymknął, pragnęła zrazić narzucanego konkurenta milczeniem, oziębłością, niechęcią, prawie do niegrzeczności posuniętą. Liczyła na ten środek, gdy matka kazała jej grać. Pan Rafał lubił muzykę, i gdyby mu się jej talent spodobał, znów wszystko byłoby stracone!...

Nie więc dziwnego, że bohaterka nasza siadała do sonaty Bathowena wzruszona, przejęta i usposobiona gorączkowo. Nie wiedziała co począć. Grać?... gra mogła ją zgubić... nie grać i zacząć rozmowę?... pan Rafał może tylko tego pragnął. Tak... rzeczywiście musiał tego pragnąć, gdyż zbliżył się do niej, patrzył to na jej ręce to na nią... jakieś słowa zdawały się chcieć wypłynąć z jego ust.

— A!... kiedy chce mówić... będę grała — pomyślała panna Julja i wykonywała dalej sonatę.

Tony wybiegały z pod jej palców i płynęły do uszu słuchacza. Wzruszenie w jakim zostawała, dawało siły i uczucia jej grze. Zdawało jej się, że jeszcze nigdy nie grała tak dobrze, i to ją przestraszyło.

— Nie... ta muzyka mnie zgubi — rzekła do siebie, i nagle w środku piękniejszego ustępu, przecinając na połowę jedną z najpiękniejszych myśli muzycznych mistrza, odjęła ręce od klawiatury.

— Ah! pani, — rzekł z wyrazem żalu i zdziwienia pan Rafał, którego artystyczne uczucie niemile uraziła ta niespodziewana pauza — przerwać tak nagle po takim zachwycającym początku!... Więc pani nie raczy grać dalej?

Chcąc nie grać trzeba było rozmawiać, a bohaterka nasza i tego sobie nie życzyła.

— Owszem, gram panie, — odrzekła, uderzając znów kilka taktów.

W tej chwili jednak przyszła jej nagle myśl zupełnie nowa.

Zaledwie drobne jej paluszki dotknęły kilkunastu klawiszy, zaledwie doszła do miejsca na którym zatrzymać się było można jako tako, bez obrażenia

stuchu tak niemiłosiernie jak poprzednio, przerwała znowu i wstała.

Pan Rafał stał przez chwilę, nie wiedząc czy ma chwalić, czy znowu prosić o ciąg dalszy.

Panna Julja tą razą wyprowadziła go z kłopotu.

— Wybacz pan, że przerywam — rzekła — ale...

— O pani!.. chciał zacząć pan Rafał.

— Są jednak chwile, w których nie podobna o tyle panować nad sobą — mówiła dalej, nie dając sobie przerywać panna Julja — ile tego do znośnego wykonania arcydzieł potrzeba. Pan jako amator i znawca rozumiesz to najlepiej, i dla tego dziwić mi się nie będziesz, żem przerwała...

— O pani! — spróbował znowu zacząć młodszy Godziemba, lecz równie bezskutecznie jak poprzednio.

— Zwłaszcza, gdy panu cokolwiek bliżej wytłomaczyć powód mego nieusposobienia — prawiła dalej panna Borska.

— Galatea przemówiła — rzekł pan Rafał w duchu.

— Wyda się panu dziwną może moja otwartość, ciągnęła jedynaczka — lecz mam nadzieję, że mi jej pan za złe nie weźmiesz.

Pan Rafał nie mógł się domyślać, do czego zmierzzał ten wstęp cały, — nie mógł się więc zdobyć na nic innego, jak na zaczęcie jakiegoś nader zwykłego zwrotu:

— Z prawdziwą przyjemnością, pani...

Panna Julja wskazała mu krzesło które zajmował poprzednio, usiadła sama na drugim i nie czekając końca frazesu, tak zaczęła:

— Nie wiem czy zwróciły uwagę pańską ostatnie wyrazy, które wychodząc z tego pokoju powiedziała moja mama.

— Wzmianka o korespondencji z moim stryjem, pani?

— Tak jest, panie. Mama moja i stryj pański mają w tej chwili konferencję, która jak się tego domyślać mamy prawo, i jak to zresztą wyraźnie powiedzieli, dotyczy...

— Losów młodszego pokolenia, — dokończył pan Rafał, wyprowadzając jedynaczkę z kłopotu wyszukiwania odpowiedniego wyrażenia.

— Podobno, panie, — odpowiedziała panna Borska — widzę ztąd, że pan również dobrze jesteś zawiadomionym jak ja. Dla tego sądzę, iż pan nie uznasz za niestosowne, że młodsze pokolenie, zamiast silić się na wykonanie sonaty, do czego potrzeba spokoju, użyje tej chwili na wyjaśnienie wzajemnego w tej sprawie stanowiska, zwłaszcza że jest strona, której pogląd w tej rzeczy zupełnie jest niezgodnym z widokiem starszej generacji.

Pomimo potoczności wyrazów jakie płynęły z ust panny Julji, znać było po niej ile trudu i wysilenia kosztowały ją te słowa, których treść, a zwłaszcza zakończenie, zostały zupełnie nieprzygotowanym i niemile uderzyły pana Rafała. Ze wszystkiego czego się mógł spodziewać, spotykało go to czego się spodziewał jak najmniej.

— Chcesz pani mówić właśnie w imieniu tej strony — rzekł tylko.

— Chcę w imieniu tej strony odwołać się do charakteru i prawości pańskiej, licząc na to że zawiadzoną nie będę, — dalej z tym samym ogniem i uczuciem mówiła jedynaczka. Powiem panu otwarcie, jakie jest moje położenie: wola matki mojej jest panu znana, wola ta jest dla mnie powagą, przeciw której występować nie miałabym chęci, a gdybym nawet chciała zbrakłoby mi siły. Jakiś głos wewnętrzny mówi mi jednak, że mam prawo i obowiązek upominać się o to, żeby o mnie i o całej mojej przyszłości nie stanowiono przeciw mnie i bezemnie; jakiś instynkt, z którego sobie nie zdaję sprawy, wskazuje mi w tym względzie jedyną drogę odwołania się do szlachetności pana. Nie gań mnie pan, jeżeli zmuszona do tak stanowczego kroku, robię go może z dziecinnym pospiechem, jeżeli czując, że musiałabym przyjąć tego, kogoby mi narzucano, ośmielałam się prosić pana, jako niezależnego zupełnie, żeby się nie pozwolił narzucić...

Skończyła. W głosie jej było tyle błagania, w jej otwartem zdaniu się na łaskę i szlachetność młodszego, tyle gośności połączonej z zaufaniem w słuszności swjej prośby i zacność tego do kogo ją zanosila, w całej jej postawie, w zakłopotaniu które walczyło z zapamiętaniem, tyle nieudanego wdzięku, że pan Rafał oczarowany jej widokiem, podbity jej ufnością, dumny wiarą jaką pokładała w jego prawości, upojony jej głosem, przejęty niezwykłością swe-

go położenia, milczał i słuchał jeszcze gdy mówić przestała.

— Pan się wahasz? — rzekła niespokojnie po chwili.

— Wahać się pani, niepodobna, — odpowiedział popieszczenie, — instynkt, który, jak pani mówisz, dyktował ci ten krok, poddał ci środek nieomylny. Pierwszy raz dopiero widząc panią jako nie dziecko, nie znalazłbym wiary, gdybym chciał mówić, że związek ułożony przez matkę pani i mego stryja, byłby najgorętszym mego serca życzeniem. Nie, pani, tego mi powiedzieć nie wolno. Związek ten miał być jednym z owych które kojarzy rozsądek, harmonja stosunków społecznych i majątkowych, jednym z tych powszechnych związków, które mojem błędnem może zdaniem, dają więcej pewności, szczęścia i spokoju, niż małżeństwa zawarte w chwilach upojenia i szału. Lecz gdybym nawet... jak nie jestem... jak być jeszcze nie mogę... był zakochanym w pani, tą miłością o jakiej poeci marzą, a o której istnieniu dotąd mnie życie nie przekonało, jeszcze po tem coś pani powiedziała, rozedrzeć bym musiał serce własne, ażeby ci być posłusznym. Zdałaś się pani na szlachetność moją, to dosyć. Wolno mi było być nieszczęśliwym, nie wolno niegodnie zawieść twego zaufania. Z głębokim smutkiem w duszy wykonałam wolę pani, a wykonam ją w ten sposób, że matka pani wcale wiedzieć nie będzie, iż spełniam twoje, a nie swoje własne życzenie.

— Dziękować panu... — zaczęła panna Julja.

— O! nie dziękuj pani, bynajmniej, — odezwał się pan Rafał wesoło, — dopóki nie dokonamy swego dzieła... a do tego potrzeba mi ze strony pani...

— Czego, panie?

— Pozwolenia na swobodę działania i... przy-
azni.

— Rób pan jak uznasz za stosowne, a wdzięczność moja zaręczam za przyjaźń, która jeżeli znajdzie wzajemność, usprawiedliwi mnie przed samą sobą z mojej niewłaściwej może śmiałości.

— Tym sposobem, pani, zawieramy przymierze odporne, — mówił dalej pan Rafał, — i silni jedno-
myślnością pokonamy wolę mamy pani i mego stryja.

— O! ze stryjem panu zapewne nie będzie trudno...

— Tak pani sądzi, a przecież jest przeciwnie. Są względy, które mi nakazują stosować się do jego woli, i gdyby mi mężka duma nie broniła, mógłbym również dobrze wymówić się od posłuszeństwa pani żądaniu, tem, że i ja w tej mierze nie jestem także samodzielnym.

— Powiedz pan sam jednak, czyby to nie było okropne, gdyby nas tak oboje zmuszono do pobrania się wbrew naszej obustronnej woli, — rzekła naiwnie nasza bohaterka.

— W istocie pani, — odpowiedział pan Rafał z uśmiechem, — to byłoby okropne.

— Więc całemi siłami oprzyjmy się temu.

— Całemi siłami się oprzemy... ja biorę na siebie kierunek.

— A ja przyrzekam współdziałanie.

— Tymczasem jednak ani słowa przed moim stryjem...

— Ani słowa przed moją mamą... Umowa przy-
jęta i zatwierdzona.

— Dan w Warszawie dnia dzisiejszego... — zakończył wesoło pan Rafał. — Jak pani sądzi, — dodał po chwili, — czyby nie było zręcznym i strategicznym, gdybyśmy teraz poszli do przeciwnego obozu i przetrwali układy nad naszym nieszczęściem?

— Idź pan sam... jam w tej chwili taka szczęśliwa! — chciałabym się nacieszyć w samotności.

— I owszem pani... pójdę, zobaczę i co się da to zaraz dzisiaj pójść...

— Życzę panu powodzenia, z całej duszy, — rzekła panna Julja podając rączkę panu Rafałowi, a po tem życzliwym pożegnaniu wyszła do swojego pokoju...

W tem miejscu nie godzi się zamilczeć, że wychodząc obejrzała się mimowolnie i rzekła do siebie:

— Szlachetny człowiek!

Było to może nieznać, lecz może coś zapowiadało: zawsze to bowiem nieźle dla młodego człowieka, w pojęciu panny na wydaniu, zostać z pana Rafała, szlachetnym panem Rafałem.

Pozostawszy sam, pan Rafał wcale się jakoś nie spieszy iść przeszkadzać naradom obozu starszej generacji.

Przez długą chwilę patrzył za odchodzącą i mówił sobie w myśli:

— No.. ktoby to pomyślał!.. na pierwszy rzutek taka sobie buzia jak zwykle... młoda, świeża, ładniutka... Kiedy milczy, albo kiedy się dąsa, powiedziała byś że dziecko, a kiedy mówić zaczyna, kiedy się spowiada z tego co jej na sercu leży, kiedy praw tego swego serduszka chce bronić... aż rozkosz na nią patrzeć... cudowna, zachwycająca, aniołek! — Gdyby nie to, że się do trzydziestego roku nie kochał, co mi dowiodło, że nie stworzony do roman-
su, myślałbym że się zakochałem, ale to niepodobieństwo. Bądź co bądź, kiedy mi rozsądek mówi że się powinienem ożenić, trzeba się starać ożenić z nią, a nie z inną — dobrze, że sobie zwłokę i tajemnicę i swobodę działania zastrzegłem... Nie chce iść za mnie z przymusu, potrzeba znaleźć sposób, któryby ją zmusił, żeby poszła dobrowolnie... Otóż prawdziwie romansowe zadanie!..

Mówiąc to chodził po pokoju, a chodząc znalazł się przed drzwiami, po za którymi odbywała się konferencja pani Borskiej z jego stryjem.

— Radź, radź, stryjaszku, wszystko będzie dobrze... już ja ci za to odpowiadam, — rzekł do siebie patrząc w te podwoje, które właśnie w tej chwili otworzyły się.

Pan Jan Godziemba wszedł sam.

— A! — rzekł zdziwiony, spostrzegając samotnego synowca.

— A! — zawołał z podobnym zadziwieniem pan Rafał, widząc że pani Borska nie towarzyszy stryjowi.

— Panienska od waszmości uciekła, — uśmiechnął się pan Jan.

— Wdówka stryjaszka odpędziła? — zapytał, od-
dając pięknem za nadobne, pan Rafał.

— Co chcesz?... pani domu... interesa... jakaś nagląca wizyta, przeszkoda... zresztą wszystko już ułożone... jutro oświadczamy się urzędownie...

— Ty chyba, stryju, bo ja nie.

— Jako?... — rzekł pan Jan niespokojnie, — a! prawda... nie chcesz się oświadczać osobiście... a więc ja to biorę na siebie, ja cię wyręczę, w tym względzie możesz liczyć na moje stryjowskie przywiązanie...

— Tak, ale ty stryju nie możesz liczyć na moje synowcowskie posłuszeństwo.

— Jak to?... co?... nie słyszałem.

— Nie oświadczaj się w moim imieniu, bo... od-
mówię.

— Eh! zartujesz.

— Nie stryju... odmówię na serjo.

— Człowieku?... co gadasz?... co do niej upatrzy-
łeś?... przecież to nie matka.

— O! nie... lecz mimo tego odmówię.

— W pierwszej chwili wprawdzie mi się zdawało że ma głos trochę za silny... ale... przecież...

— O! nie o głos mi chodzi... jest miłutki.

— No... tembardziej... Zdawało mi się także, że jej od matki odróżnić niepodobna... ale... sam się przekonałem.

— Przekonałem się że przesłizna...

— Więc czegoż jeszcze chcesz?... Wydała mi się źle wychowaną... ale i to musiało być złudzeniem?...

— Było złudzeniem.

— To już cię nie rozumiem doprawdy... Chyba źle gra?...
— Gra jak anioł.

— A więc... człowieku!.. dla czegoż ty jej nie chcesz?...

— Kto ci powiedział stryju, że nie chcę?... chcę, chcę!.. sto razy chcę!.. nie wezmę jej jednakże, póki nie znajdę drogi do jej serca...

— Co? co?... zakochałeś się?... romansujesz?... ty i serce? — co to znaczy?... żarty chyba, albo zmiana jakaś niepojęta.

— Żadne żarty, żadna zmiana, stryju... nie jestem zakochany, za starym już na to... Ale ona nie chce iść za mąż, tylko za tego kogo pokocha...

— A wola matki?

— Nie chce przymusu...

— Twierdziłeś przecie, że rodzice mają prawo przymuszać swoje dzieci do szczęścia... a cóż, ty ją unieszczęśliwić myślisz?

— Odwołuję to twierdzenie.

— Cóż więc zrobić zamierzasz?

— Powiedziałem ci już stryjaszku... chcę znaleźć drogę do jej serca.

— A jak tego nie dokazesz?

— Dokażę, bo chcę...

Pan Jan spojrział poważnie na swego synowca, i rzekł powoli.

— Wiesz Rafałku... ja ci powiem... nie mam nic przeciwko temu... szukaj tej drogi, byle prędko... życzę ci żebyś ją znalazł, ale cię ostrzegam, że ona prędzej znajdzie drogę do twego... jeżeli już nie znalazła.

Pan Rafał rzucił się na szyję stryjowi.

— Stryjaszku, filozofie!.. pozwól, że cię uściskam, zawołał, — wątpię czy tak się stanie, ale gdyby się twoje prociotwo spełniło, czy sądzisz że byłbym w rozpaczy?...

— Zakochany! — pomyślał pan Jan Godziemba, i zatarł ręce z zadowoleniem.

Korrespondencja z Niemiec.

Drezno w Lipcu 1868 r.

Festyn strzelecki w Wiedniu. — Wielkie jedzenie i wielkie tupanie na próbę. — Sontheim jako tenor i Sztuttgart jako środek Europy. — Omnibusy i comfortable wiedeńskie. Dziś o pracy kobiet. — Emancypacja praktycznie pojęta. — Choroba Davisona. — Strzelanie do kurka w Dreźnie. — Statystyka straconego czasu. — Jak się w Wiedniu budują pałace i piszą rachunki.

Środek ciężkości Niemiec uważanych z kronikarskiego stanowiska, przeniósł się w tej chwili na parę tygodni do Wiednia. Tam dają wszystkie pociągi nadzwyczajne i spacerowe, tam się skupiają deputacje i towarzystwa ze wszystkich stron świata, tam tłum największy i największa pukanina z broni palnej do celu, którym jest objawienie Europie niespożytej siły i wyższości germańskiego ducha, — i my więc z obowiązku tam początku tej kroniki naszej szukać będziemy.

Obszerne błonie rozciągające się na końcu Prateru, zaległy niezmiernym szeregiem wszelkiej konstrukcyj budy, szafase i namioty, poprzybierane czarno-biało-czerwonemi chorągiewami niemieckimi i herbami wszystkich niemieckich lub za niemieckie poczytywanych krajów i kraików. W tych budach, którym architektonicznego smaku bynajmniej przyznać nie można, tłumią się goście z północy i południa na dziesiątki tysięcy już liczeni, choć uroczystość urzędownie jeszcze w chwili kiedy to piszemy nie rozpoczęta, lub snują się pomiędzy niemi, mówiąc z sobą wszystkimi narzeczaniami niemieckiego języka. i Tu Drezdeńczyk, któremu natura odmówiła zdolność do wymawiania spółgłosek, i w którego mowie najbiegłejsze ucho *d* od *t*, *p* od *b* i *g* od *k* nie rozróżni, ociera się o Berlińczyka, który *g* zastępuje *j*otą; gdzieindziej trzech zgromadzonych siada przy jednym stole i każdy woła o kufel piwa, tym samym językiem, a każdy nazywa go inaczej. Jeden krzyczy *ein Krügel*, drugi *ein Glas*, trzeci *ein Töpfchen*; — w tym ostatnim poznasz z łatwością Sasa, bo parę głosek połąknał w wymawianiu. Gdzieindziej zamyślony profesor, przesuwając się powoli nie patrząc na to co go otacza, powtarzając sobie tylko po głosem ustępy z mowy, którą dzisiaj jeszcze lub jutro znajdzie sposobność wypalić, a od której jego przekonaniem, zadrży hr. Bismark w Berlinie, w Paryżu zaś ten którego humorystyka niemiecka przez *ER* oznacza, na dai kilka sen i apetyt straci. Ów gdzie episyer wiedeński, nietyle polityką podstawową co finansami osobistymi zaprzątnięty, robi palcami ruchy, jakby coś rachował — liczy zapewne srebrne reńskie i talary, które do jego kieszeni przy okazji trzeciego strzeleckiego festynu wpłyną, by mu ułatwić płacenie rozmaitych *stenerów* i *zuschlagów* do nich. Tam nakoniec rzeczywisci bohaterowie *schützenfestu*, ci którzy nietylko okiem i gardłem biorą udział w uroczystości strzeleckiej, landwerzyści bawarscy i bohaterowie ósmego korpusu związkowego, uśmiechają się do Wiedenek tym uśmiechem pewnym zwycięstwa, jakim tylko walecznym uśmiechać się przystało, i marzą o nagrodach jakie czekają tych, którzy największą liczbą celnych strzałów zdolność do piastowania iglicówki udowodnią.

Punktem kulminacyjnym wszelkiej uroczystości, nietylko w Niemczech podobno, jest jedzenie i picie. Gdyby się program pod tym względem nie udał, cały festyn byłby chybiony, — tu więc szczególnie trzeba się było mieć na baczności. Zgromadzonemu tysiącom mogłoby zbraknąć piwa; nie wiadomo czyby się na prędce znalazł jaki Mojżesz, ażeby uderze-

niem laską o skałę wyprował źródło ożywe, gdyby się zresztą znalazł, mógłby mu stanąć zawadą brak skały. Zbudowano więc umyślnie kolej żelazną, która tylko tego napoju dostarcza z browaru. Pod innym względem okazano jeszcze większą przenikliwość i zabiegłość. W czasie festynu objęta jest programem biesiada na 6000 osób. Żadna z pań gospodyń nie zaprzeczy, że mając taką liczbę zaproszonych na objad, nie mało sobie głowy nałamać potrzeba nad urządzeniem kuchni i obsługi, żeby nie tylko wybrani ale wszyscy wezwani nie byli głodni, i mogli dostać się do półmiska, a raczej półmiski do nich. Komitet zawiadowczy zapowiedział zatem i odbył próbę tego wielkiego jedzenia. Na kilka dni przed rozpoczęciem Schützenfestu, każdy Wiedeńczyk mógł w niej wziąć udział za opłatą półtora reńskiego. Ochotników znalazła się dostateczna liczba; jedzenie na próbę udało się wybornie, zdaniem sześciu tysięcy apetytów, i okazało się że nasze przysłowie o 6-u kucharkach nie tak konieczne jest prawdziwe, gdyż aby było co jeść dla strzelców i ich przyjaciół, potrzeba będzie 180 kucharek i 300 pomocnic, nie licząc służby do obnoszenia użyteń.

Próbowi biesiadnicy mieli w czasie tej uczty wcale oryginalną niespodziankę. W jednej chwili galerje otaczające sale, w których się odbywała biesiada, napełniły się mnóstwem ludzi, którzy oddawali się na nich zaczęli ćwiczeniom w tupaniu, poskokach i wszelkiego rodzaju hałaśliwej gimnastyce. Uczniący na próbę, z niepokojem kładli widelce i podnosili głowy, żeby zobaczyć czem im zagraża ten piekielny łoskot i hałas... nie jeden chciał już opuszczać stanowisko, gdy rozjaśniła się zagadka tej wcale niezwykłej muzyki. Równocześnie z wielkim jedzeniem na próbę, odbywała się próba trwałości galerji. Brano w niej udział na ochotnika, bezpłatnie; ochotników znalazło się tysiące, inaczey próba nie byłaby próbą i pokazało się że galerje wytrzymują parcia, na jakie będą wystawione. W razie przeciwnego wypadku, dział w tej drugiej próbie drożey by podobno przyplacili uczestnicy, niż ci co za reńskiego i piędziesiąt centów, kupowali sobie prawo powtarzania za Szyllerem: „Auch ich hab' in Arkadien gegessen!“

Radość w Wiedniu z powodu festynu tak wielka i objawia się tak gwarnie, że wszystko inne sobą przygłusza, nawet głos pana Sontheima, tenora wiedeńskiej opery, o którym, kto czytuje gazety wiedeńskie, jest pewno przekonany, iż znakomitszego śpiewaka nie ma w tej chwili Europa. Jakim sposobem zdarzyło się to Sontheimowi, że został nagłe taką gwiazdą śpiewaków, temu zapewne on sam najbardziej się dziwi. Ma on lat z górą czterdzieści i w tym roku dopiero przytrafił mu się ten wypadek. Dotąd siedział sobie spokojnie w Sztutgardzie, i śpiewał tak że głos jego po za Sztutgart nie sięgał. Ale od czasu jak tygodnik *Ueber Land und Meer* umieścił mapę Europy, w którym za pomocą pierścienia kół współśrodkowych, udowodnił, że stolica Wirtembergji jest najcentralniejszym punktem naszej części świata, Europa zwróciła oczy na swój środek, zaczęła się w nim rozpatrywać bliżej i odkryła pana Sontheima. Spostrzeżono, że pan Sontheim ma przyzwyczajoną tuszę, grube, wyraziste rysy, głos pomimo braku świeżości dość jeszcze silny, zbliżający się więc do wysokiego barytonu niż do tenora, że śpiewa całkiem według niemieckiej metody i gra z niemiecką zupełną przesadą, giestykulując na scenie rękami, jakby godził na czyjeś życie albo do bokowania przeciwnika wyzywał, — więc go zaangażowano przed kilką miesiącami do Wiednia, jako tenora. Względnie biorąc, Sontheim jest najlepszym tenorem ze wszystkich jacy w Wiedniu w ostatnich czasach gościli, sławę więc jego tłumaczy po części przysłowie o jednookim między ślepymi.

(d. c. n.)

Do kwiatka w zielniku.

Miło kwiateczku wśród kwiatków grona,
Gdy słonko grzeje i poi rosa,
Błyszczą gdzie trawka rośnie zielona
I strojną główkę wznosić w niebiosą.
O! może nieraz cudna dziewczica,
Bieluchną dłonią pieściła ciebie,
Gdy smutek przyćmił różane lica
I gdy bujała myślami w Niebie.

Może urokiem zwabiony woni,
Zerwał by ciebie tkliwy młodzieniec,
Dla swojej lubej wplótlby cię w wieniec
I na kochanki jaśniałbyś skroni.
Możesz ty nieraz kwiatku niebieski
Słyszał mocniejsze serduszka bicie,
W twój kielich piękne spadały łezki,
O! toś mi kwiatku droższy nad życie.
Lecz choć cię wszyscy pieścili czule,
Uległes smutnej losów kolei,
Zawiądałes kwiatku w marnój bibule,
Uschłes, na zawsze już bez nadziei.

Alexander Mesterhazy.

W PAŁACU I W CHATCE

POWIEŚĆ

Berthold'a Auerbach'a,

przełożona z niemieckiego

PRZEZ

JOANNĘ BELEJOWSKĄ.

(Dalszy ciąg)

Spokojnie i bez wypadku dojechali do okręgu, w którym leżała nowa ich własność. Beata prosiła aby się zatrzymać na samej granicy, i zszedłszy z wozu, weszła do lasu i tam uklękawszy pocałowała ziemię.

„Dzięki Bogu, powracam do ciebie, ziemio moja rodzinna! O! noś mnie jeszcze długo i dozwól abym ja i wszyscy moi, szczęśliwe dni spędzali na twojem łonie; a potem, gdy już przyjdzie ostatnia moja godzina, przyjm mnie do siebie jak matka powracające dziecko.“

Poczem wróciła do wozu, mówiąc:

„Bóg z wami! otóż jesteście u siebie. Widzicie tam na wzgórzu ten dom otoczony lipami, to nasza własność w której zamieszkać mamy.“

Wszyscy wysiedli, nawet dziecko, sama tylko Irma pozostała na wozie.

Szli doliną, — dochodząc do wsi wuj Piotr zaczął niemiłosiernie trzaskać z biczem; trzebaż przecie żeby wszyscy wieśniacy wybiegli i zobaczyli jaką bogatą ma rodzinę. Doszli do małej chatki.

— Oto rodzinna moja chata, rzekła do Jana.

— Odkrywam przed nią głowę, rzekł zdejmując kapelus.

Wozy jadące naprzód zatrzymały się przed oberżą, stojącą w pobliżu domu gminnego i kościoła; tu zgromadzili się wieśniacy chcąc poznać nowego właściciela i jego rodzinę. Wuj Piotr pełnił obowiązki mistrza ceremonji i przedstawił Walpurgę żonie burmistrza. Beata także wielkiej doznała przyjemności; zastała tu świekrę burmistrza u której kiedyś służyła za bonę do dzieci, — zapytała o chłopczyka, swego wychowawca.

— Umarł już, odpowiedziano, a oto jego syn.

Przywołano dużego i tegiego chłopaka, który nie wiedział co odpowiedzieć, skoro Beata oznajmiła mu, że wychowywała jego ojca gdy jeszcze chodził do szkoły.

Wieśniacy otoczyli przybyłych, zaczęła się długa gawędka. Irma pozostała na wozie — wszyscy zapomnieli o niej. Po niejakim czasie, Beata pierwsza przypomniała sobie biedną opuszczoną i co prędzej pobiegła do niej:

— Daruj, rzekła, żeśmy cię opuścili, ale trzeba było przywitać się z wieśniakami; — zaraz w dalszą ruszymy drogę.

Irma prosiła aby się nią wcale nie zajmowali — nauczy się czekać! Beata nie zupełnie zrozumiała znaczenie słów i akcentu, z jakim Irma je wyrzekła.

Usłyszawszy tę wrzawę głosów ze wszech stron rozlegającą się po drodze, kiedy ona leżała sama, na prostym chłopskim, płótnem pokrytym wozie, gorzkie uczucie zbudziło się w sercu Irmy, gdy pomyślała sobie, że ona, przywykła do hołdów, ona przed którą najpierw bili czołem, dziś jest na łasce drugich; wkrótce jednak odzyskała zwykłą sobie moc i siłę charakteru.

— Im więcej będę samą, tem lepiej, rzekła do siebie.

Ruszono znowu w dalszą drogę i wjechano na górę; Beata nie posiadała się z radości, poznawała wszystko co ją otaczało. Sliwki pokryte były owocem, a jabłonki rosnące wzdłuż drogi, szczepione za jej młodych lat, ugięły się pod ciężarem wielkich czerwonych jabłek.

XV.

Gdy dojechali do folwarku, białe źrebę zarżało jakby na powitanie podróżnych.

— Dobra wróżba! zawołał Jan.

Beata posadziła Burę na ziemi, wzięła książkę do nabożeństwa i przyciskając ją dwoma rękami do piersi, pierwsza weszła w progi domu. Za nią szedł Jan, a na końcu Walpurga z dzieckiem i Irma.

Beata zapukała trzy razy do drzwi, potem otworzyła je, weszła położywszy pierwey na progu otwartą książkę do nabożeństwa, tak aby promienie słoneczne padały na nią. W pokoju nie było żadnych sprzętów. Wszedłszy do sali, Jan wyciągnął do żony rękę, mówiąc:

— Niech cię Bóg błogosławi, pani dziedziczko.

Potem zaraz zaprowadzono Irmę do przeznaczonego dla niej pokoiku. Z okna widać było pola, strumień i las sąsiedni; Irma spojrzęła w około, smutne jakieś zrobiły na niej wrażenie gołe ściany i zielony piec w rogu izdebki; — tam w pałacu albo w domu ojca, miała tak przepyszne meble, powozy, konie — a tu!...

Nie śmierci nie towarzyszy do grobu!

Stanęła w oknie, patrząc na lasy i pola ozłocone promieniami zachodzącego słońca.

Jan wszedł do ogrodu, i zatrzymując się pod oknem Irmy, wyjął gałązkę wiśni zatkniętą za wstążkę od kapelusza, którą przywiózł z ogródka przy chatce nad jeziorem, i zasadził w ziemię.

Przy nim stała Beata.

— Daj Boże, rzekła, abyś kiedy mógł wejść na tę gałązkę zamienioną w urodzajne drzewo i zbierać z niej owoce, i niech to samo czynią twoje dzieci i wnuki.

Wszyscy wesoło i zgodnie zaczęli się zajmować urządzeniem domu, a Walpurga najpiękniejsze sprzęty zносиła do pokoju Irmy. Jan bynajmniej nie sprzeciwiał się temu.

— Czy nie czujesz się tu za nadto samotną? zapytała Walpurga, uporządkowawszy wszystko jak mogła najlepiej.

— Bynajmniej, — zdaje mi się że nigdy nie mogę być dość samotną na świecie. Ale nie kłopot się o mnie, masz tyle zajęcia, ja będę się starać być spokojną. Umiem ocenić twoją dobroć — los zbyt łaskaw na mnie.

— Ach! nie mów tak! jesteś tu prawdziwie u siebie, bo gdyby nie złoto któreś mi dała, nie byłibymy mogli kupić tego folwarku.

— Ach! Walpurgu, nie powtarzaj tego nigdy, zawołała Irma. Nigdy, nigdy nie wspominaj mi o tem złocie.

Walpurga przyrzekła zadość uczynić żądaniu Irmy i ostrzegła ją żeby się nie przejęła, jeśli mieszkać nad nią starzec, zacznie głośno sam do siebie mówić lub hałasować. Był to biedny niewiedzący, który zniedołężniał skutkiem złego obchodzenia się z nim dziećmi, ale nie jest ani zły ani szkodliwy. Potem prosiła Irmy o pozwolenie, iżby przynajmniej tę pierwszą noc Gundel spała przy niej, — ale Irma odmówiła.

— Lecz przyrzekasz mi że pozostaniesz z nami, że wyrzekniesz się tych złych myśli, rzekła błagając.

— Nie! nigdy.... Ale nie mówmy o tem, choć być samą, dźwięk głosu ludzkiego, nawet twojego, przykroć mi teraz sprawa. Dobranoc, do jutra.

Po odejściu Walpurgi, Irma usiadła przy oknie — noc roztoczyła swe cienie

— Jestże to prawdą, że dopiero dzień jeden upłynął od tej strasznej chwili?... Zerwała się nagle... wyraźnie się jej zdało, że wśród czarnej nocy ukazała się jej głowa czarnobrewej Estery — że słyszy krzyk jej ostatni — widzi twarz wykrzywioną kurczem konania, — wielkie jej czarne warkocze... I włosy powstały jej na głowie, nie wiedziała czy jeszcze jest na świecie, lub w głębi fal jeziora obok trupa Estery.

Otworzyła okno, świeże powietrze orzeźwiło ją nieco, — i długo tak siedziała gubiąc wzrok w oddali, gdy nagle dziki jakiś śmiech usłyszała po nad sobą.

— Ha! ha! nie zrobię wam tej uciechy! nie umrę, nie! He! he! żyć będę lat sto — a potem podam się o przedłużenie urlopu...

To stary mieszkawiec fermy tak się odzywał.

— Nie jestem warjatem, wołał, wiem dobrze że teraz noc. Ho! ho! nowi właściciele muszą dać mi jakieś wynagrodzenie za to, że nie żądam od nich światła. Od tego nie odstąpię, choćby mi przyszło szukać sprawiedliwości u samego króla!

Irma drgnęła, usłyszawszy że ktoś mówi o królu.

— Tak, tak! trzeba się udać do króla! do króla! do króla! krzyczał uparcie starzec, jak gdyby wiedział że słowo to ogarnia płomieniem i rumieni twarz Army.

Po niejakiś czasie, okno się zamknęło, usłyszała łomot przewróconego krzesła — starzec uspokoił się i udał na spoczynek.

Irma siedziała jeszcze przypatrując się cieniem nocny. Na niebie ani jedna nie błyszczała gwiazdeczka, tylko z oddali dochodził ją szmer strumyka i szum lasu. Ta noc czarna podobną była do otchłani.

— Czy nie spiszesz jeszcze? zapytał głos zewnątrz. To Beata. Jakżem ci wdzięczna za twe przybycie, rzekła do Army, dzięki tobie mniej zajmuję się sobą. Czterdzieści lat temu, byłam w tym folwarku prostą służącą, i jakoś nie może mi się pomieścić w głowie, że teraz jestem matką właścicielki i prawie najpierwszą tu osobą. Szczęściem zapominam o tem wszystkim myśląc o tobie. Pójdź moje dziecko, przejdź się trochę na świeżem powietrzu.

Irma wyszła ze starą matką, — jakaż to różnica od przewodniczki prowadzącej ją przeszłej nocy.

Beata poprowadziła ją do źródła; miała z sobą kufelek, nabrała wody i podała Armie mówiąc:

— Napij się; taka świeża woda jest bardzo zdrowa, chłodzi i uspokaja, to jakby kąpiel wewnętrzna. O! ja wiem dobrze co to jest zmartwienie, wtedy ogień pali nam wnętrzości...

Irma wypita kubek zimnej wody, i zdało jej się jakby świeża rosa ją orzeźwiła. Beata odprowadziła ją do pokoju; Irma uskarżała się że przeszłość nie może zatrzeć się w jej duszy.

— Ach! bo masz jeszcze na sobie koszulę którą nosiłaś w pałacu; wierzaj mi, dopiero gdy ją spalisz, odbiegają cię te smutne myśli.

Irma była posłuszną jak dziecko; Beata przyniosła jej prostą grubą koszulę, zmieniła ją zaraz, poczem stara matka przyniosła drzewa i świecę, rozpałała ogień i wrzuciła weń batystową koszulę Army. Za chwilę wyszła i przyniosła wielką skórę z daniela.

— Oto Jan prosił abym ci przyniosła tę skórę; powiada że może przyzwyczajona jesteś trzymać nogi na miękkim kobiercu; nie mając go przysłał ci skórę daniela, którego sam zabił na polowaniu.

Irma umiała ocenić dobroć serca wieśniaka, dającego taki dowód troskliwej przyjaźni jakiejś tajemniczniej nieznamomiej.

Beata usiadła na łóżku Army, mówiąc jej że nie wstanie dopokąd ona nie usnie; — gdy po jakimś czasie Irma zasnęła, dmuchnęła trzy razy na jej czoło i cicho wyszła z pokoju.

Wśród nocy Irma nagle zerwała się ze snu.

— Do króla! do króla! do króla! krzyczał ktoś głośno. Onaż to wołała lub starzec mieszkający nad nią?.. Podniosła rękę do czoła — uczuła opaskę; czyż to wodne rośliny tak oplątały się w około jej czoła?.. czyż żywcem leży w otchłaniach jeziora?.. W tej dopiero chwili odzyskała zupełną przytomność, dokładnie przypominała sobie wszystko, i gorzko płakać zaczęła.

Wieczór był gdy się obudziła; — nie wiedziała jak długo spała. Beata siedziała na jej łóżku, zimną wodą okładając jej głowę.

— Dzięki Bogu, niebezpieczeństwo minęło, silna natura cię ocaliła.

Irma wstała i ubrała się; czuła się dość silną, i wyszła wsparta na ramieniu Beaty.

— Dzięki niebu, przysłaś już przecie do siebie, rzekła Walpurga, siedząca wraz z Janem na ławeczce przed domem.

Irma podziękowała im serdecznie, spojrzawszy na szczyt domu. Cóż to za napis tam stoi?

— Prawda że zdrowe i dobre rady wypisano na tym domu? rzekł do niej Jan.

Irma zadrżała, oto co wyczytała na szczycie po nad drzwiami:

Jedz i pij.

Nie zapominaj o Bogu,

Strzeż twój go honoru.

Ze wszystkiego co posiadasz,

Jeden tylko całun,

Poniesiesz z sobą do grobu.

KSIĘGA VI.

JEDNAKOWA PRZYCZYNA WYWOŁUJE ODMIENNE SKUTKI.

I

Ucieczka Army stawiała Bauma w bardzo trudnym położeniu; gdy wróciwszy nie zastał jej w oznaczonym miejscu, oglądał się na wszystkie strony; daremnie, — nigdzie jej nie mógł zobaczyć. Pies, wiedziony instynktem może iść za śladem swego pana, człowiek musi działać na domysł, zastanawiać się i namyslać.

Czyżby uciekła? gdzie? dla czego? Cóż teraz Baum ma uczynić? czy szukać tej która go odpędziła, tak samo jak psa który pobiegł za nią kiedy wyjeżdżała z domu? Tylko psa odpędza się otwarcie, a służącego, ponieważ jest człowiekiem, oddala się pod zmyślonym jakim pozorem.

Baum czuł że poraz pierwszy musi zastanowić się nad tem co czynić wypada, dotąd zawsze czyjeś tylko wypełniał rozkazy. Może w przywiezionym przez niego liście, oznaczono miejsce w którym dziś jeszcze mieli spotkać się z sobą. Można wyjechać na polowanie, spotkać się w lesie; do Wildenort nie podobno przyjechać otwarcie, — żałoba; — wreszcie nie chcą zdradzić się przed służącymi. Ale dla czego? Baum byłby tak szczęśliwy, gdyby mu pozwolono dowieść że umie dochować tajemnicy. Jednak, kto wie, może hrabianka uciekła?

Jakże ciężką odpowiedzialność włożono na Bauma; przed wyjazdem pierwszy szambelan rzekł do niego: Trzeba ażebyś zawsze był przy hrabiance, zawsze, — czy rozumiesz? a w powrocie do dworu, także towarzyszyć jej będziesz. Czyby już wtenczas domysłano się że ma zamiar uciec?

— Jestem niewinny! krzyknął Baum, jakby chciał aby te słowa doleciały aż do królewskiego pałacu. Ale na cóż się, zda być niewinnym? trzeba było być przebieglejszym...

Baum wrócił do pałacu — może hrabianka powróciła już inną drogą; może służąca wie gdzie pani miała zamiar pojechać?

— Czy pani jest tutaj? zapytał, wbiegając do przedpokoju.

— Wszakże z tobą wyjechała konno, odpowiedziała panna służąca.

— Czy nie wiesz gdzie miała jechać?

— Więc pojechała sama? Ach mój Boże! gotowa spełnić swój zamiar.

— Jaki zamiar?

— Mówiłam już hrabiemu Brunonowi, że lękam się aby sobie nie odebrała życia. Zdaje mi się że ma przy sobie truciznę albo sztylet, gotowa się zabić.

— Gdyby chciała przebić się lub otruć, mogłaby to zrobić w swym własnym pokoju, odpowiedział Baum, śmiejąc się ze swój przenikliwości.

— To prawda, ale w nocy przez sen, wołała ciągle. W toniach jeziora! Ah! wielki Boże, moja piękna, kochana hrabianka, nie żyje. Gdzież ja się teraz nieszczęśliwa podzieje?

Baum starał się pocieszyć ją, i zapytał czy hrabianka nie zostawiła jakiego listu.

Biórko było otwarte, znaleziono w nim różne papiery, a między niemi list zaadresowany do królowej. Baum chciał go wiać, ale panna służąca pochwyciła go jeszcze pierwój, nie chcąc aby ktoś obcy wdierał się w tajemnice jej pani. Lecz kiedy odwróciła się aby list schować, Baum postrzegł drugi, z podpisem: „Do mego przyjaciela.“ Przeczytał parę wierszy i przekonał się że może być ważniejszy od poprzedzającego, i dla tego schował go spiesznie do kieszeni. Panna służąca posłyszała szelest papieru i domagała się jego zwrotu; Baum wybiegł z pokoju, przywołał innych służących i przy nich oświadczył służącej, że jeśli mu nie dozwoli przeczytać tego listu, który nawet nie był zapieczętowany, wszelka odpowiedzialność na nią tylko spadnie; może właśnie z tego listu będzie się można domyśleć, w którą stronę udała się hrabianka.

Wszyscy podzielali zdanie Bauma; przeczytał więc, i rozkazał aby groom osiodłał konia i pojechał z nim razem.

Słońce już zachodziło kiedy wyjeżdżali z pałacu. W którą stronę mają skierować swe kroki?

Spotkali w końcu pastuszkę, który im powiedział, że widział hrabiankę pędzącą galopem po drodze wiodącej ku górze Dzikich Kóz. Był to zawsze ślad jakiś; zwrócili się szybko na wskazaną drogę — po niej jakim czasie usłyszeli rzenie konia, podążyli w tę stronę i poznali wierzchowca Army pasącego się spokojnie, ale wędzidło było pokryte pianą.

Może hrabianka spadła z konia, kto wie czy nie leży gdzie zemdlona, rzekł Baum. Uważał że przed groomem wypada zataić prawdę.

Szukali wszędzie lecz nic nie znaleźli, i nikt nie odpowiadał na ich wołanie. Zabrali z sobą konia Army i poszli piechotą szukając śladu kroków; Baum miał wzrok tak silny, że dojrzałby ich choć już zmrok zapadał.

Weszli na górę Dzikich Kóz. Baum uciął nożem suchą gałąź, zapalił ją i przy jej świetle czynił dalsze poszukiwania. Tu koń zwrócił się na lewo, trochę dalej na piasku odcisnęła się stopa kobiety, lecz dalej wszelki ślad znika.

— Ona tu być musi, krzyknął Baum, zapewne zeszła do lasu. Znam drogę; idź na lewo i weź z sobą dwa konie, ja z trzecim pójdę na prawo. Tylko nie oddalaj się zbyt daleko.

Po długich, daremnych poszukiwaniach, zeszli się razem; daniel przebiegł im drogę — gdyby umiał mówić, mógłby im powiedzieć, że blisko o milę od tego miejsca. Irma go spłoszyła.

— Jeśli ją znajdziesz, otrzymasz piękną nagrodę za swe trudy, rzekł Baum do grooma.

Znaczną część nocy błakali się po lesie, w końcu jednak musieli przerwać poszukiwania, i oczekiwać dnia położony się na murawie, gdyż nie mogli już znaleźć ścieżki, którąby można było przeprowadzić konie.

Słońce świeciło od dawna kiedy nazajutrz otworzyli oczy. W dali widać było błyszczące fale jeziora, do ich uszu dochodziły dźwięki muzyki, a echa skał powtarzały huk strzałów.

Baum wyjął swe pistolety i z obydwóch wystrzelił w powietrze, potem słuchał wstrzymując prawie oddech; może też Irma usłyszy i odpowie. Nic nie przerwało milczenia.

Znaleźli ścieżkę wiodącą do jeziora. Przybyli do brzegu. Przed ich oczami szklni się gładka powierzchnia jeziora; któż może odgadnąć co się w jego toniach kryje? Tam dalej przybija do brzegu łódź mieszcząca w sobie kilka osób, było i rzeczy. Baum ze swym towarzyszem udają się w przeciwną stronę, gdzie widać zabudowania wiejskie i chaty rybaków; konie i oni sami tak już są zmęczeni, że koniecznie muszą się posilić i odpocząć. Po drodze, pytają każdego, czy nie widział pięknej pani w niebieskiej amazonce i w okrągłym kapelusiku z piórami.

— Widziałem, odpowiedział w końcu starzec, wycinający trzcinę nad brzegiem.

— Gdzie? kiedy?

— Tam w oberży. Rok minął jak przepędziła tu kilka tygodni.

Baum złorzeczył w duszy prostocie wieśniaczek, Szczęściem spotkał żandarma, oznajmił mu kim jest i kogo szuka, odesłał do pałacu grooma z dwoma końmi i damskim siodłem, włożył swoje siodło na Plutona, i w towarzystwie żandarma pojechał dalej brzegiem jeziora. Spostregli człowieka stojącego na nadbrzeżnej skale; w rękę trzymał kapelusik z piórami. Zeskoczył ze skały; jeździec ewałem popędził ku niemu, Baum poznał swego brata Tomasza, i tak się tem przeraził że zaledwie nie spadł z konia.

Jeżeli on zamordował hrabiankę?

Tomasz przyglądał im się bacznie, woda ociekała z jego włosów i odzieży.

— Co tam robisz? krzyknął żandarm, który także poznał Tomasza. Czyj kapelusik trzymasz w ręku?

— Nie zda się dla ciebie, odpowiedział, szcękając zębami.

Baum wyjął z kieszeni flaszkę z wódką i podał ją drzącemu od zimna Tomaszowi; ten napił się do woli, a potem zaczął opowiadać z jakąś dziwną mieszaniną żalu i gniewu, że w nocy Irma zabłądziwszy w lesie, weszła do chaty Centy, i namówiła siostrę Tomasza aby razem z nią skoczyła w jezioro, że on przybył już za późno aby im mógł przeszkodzić, ale

sposzregłszy coś unoszącego się nad wodą, rzucił się w pław myśląc że uratuje hrabiankę, ale znalazł tylko jej kapelusz.

Żandarm nie wierzył Tomaszowi i chciał go aresztować, lecz Baum szepnął mu do ucha, że nie można nikogo posądzać, gdyż on wie z pewnością, że hrabianka sama się utopiła. Nie chciał aby aresztowano brata, w jego sercu obudziło się coś podobnego do litości, i rzekł po chwili: Słuchaj, pomieniamy się, dam ci tę flaszkę z wódką a ty mi oddasz kapelusz.

— O! co nie, to nie, wiem do kogo należy, zaniosę go królowi, a on mi dobrze zapłaci. Potem zaczął śpiewać:

Na pamiątkę po kochance...

Cisnął kapelusz w górę i napowrót go schwycił.

Żandarm zacisnął pięści i chciał uderzyć Tomasza, lecz go Baum powstrzymał. Zbliżył się do brata i położył mu rękę na ramieniu. Tomasz zdrzął, uspokoił się natychmiast i z uśmiechem spoglądał na Bauma. Kto wie czy nie uczył że go dotyka ręka brata, który razem z nim ujrzał światło dzienne? Baum przemawiał łagodnie do Tomasza, a on przyglądał mu się z otwartymi ustami, jakby w jego umyśle powstała jakaś myśl, której nie śmiał wyrazić; ten głos, ta ręka wsparta na jego ramieniu, zmieniły go zupełnie; płakał, sam nie wiedząc czego.

— Czy chcesz mi oddać ten kapelusz za sztukę złota, lub też wolisz abyśmy ci odebrali go gwałtem? Wszak widzisz że nas tu dwóch przeciwko tobie, rzekł Baum.

Tomasz oddał kapelusz nie mówiąc ani słowa, a kiedy Baum włożył mu w rękę sztukę złota, z największym zdumieniem spoglądał na pieniądze i na niego.

Baum odezwał się znów, radząc mu, ażeby, jeżeli majesz matkę, podzielił się z nią temi pieniędzmi.

— Matkę? wyszeptał Tomasz, matkę? powtórzył jakby mu się coś przypomniało.

Żandarm unosił się nad dobrocią Bauma.

Tomasz zaczął znów opowiadać, że Irma znaczną część nocy przepędziła w chacie i że matka może coś więcej o niej wiedzieć, gdyż długo była z nią razem. Ponieważ Baum i żandarm oświadczyli chęć pomówienia z Centą, Tomasz zaprowadził ich do chaty w górach.

W drodze, żandarm opowiedział Baumowi historję rodziny Tomasza i zakończył temi słowy: Jak widzisz, człowiek ten jest wielkie ladaco, już kilka razy był karany za polowanie w cudzych lasach; nie raz już radziłem mu aby się udał do Ameryki, tam mógłby przecie nacieszyć się polowaniem. Ma już w Ameryce brata, który jeżeli tylko nie umarł, musi być także niepoń skończony, bo dotąd nie pisał nawet do matki i do brata.

Baum uśmiechnął się w milczeniu; przykro mu było że matka jest także wmięszana w tę sprawę, a czuł że przy spotkaniu z nią, musi zachować zimną krew, aby się niczem nie zdradził.

Przybyli do chaty, lecz nie zastali nikogo, stara Centa gdzieś wyszła.

— Pewno i ona szuka Estery, rzekł Tomasz.

— Gdzież się podziała czarnobrewa Estera? zapytał żandarm.

— Czarnobrewa Estera, powtórzył Tomasz.— Ha! ha! woda igra z nią teraz. Jeżeli mi dacie na piwo, to i ja skoczę w jezioro.

Rzucił się na barłóg pokryty płachtą i w milczeniu patrzył na swe ręce, ktorými wczoraj w lesie, tak nieludzko wybił Estere, potem w tył przechylił głowę i zasnął. Baum nie mógł już wydobyć z niego ani słowa. wyszedł więc z towarzyszem z chaty i pojechali napowrót nad brzeg jeziora, dla wyszukania więcej śladów. Wyjeżdżając z lasu, stanęli na gościńcu, i wtenczas właśnie spotkali wóz pokryty płótnem.

Jechali brzegiem jeziora. Przed nimi szła piękna czarna krowa, niekiedy zatrzymywała się na łące i jadła trawę lub spoglądała na wodę, lecz kiedy doszła do plotu, cofnęła się nagle, zawróciła, i tak gwałtownie zaczęła uciekać, że o mało nie przewróciła konia Bauma.

— Ta krowa przelękała się czegoś, zawołał Baum, i szybko zeskokczył z konia. Włosy powstały mu na głowie, sądził, że ujrzy zwłoki Irmy, lecz znalazł tylko jej podarte trzewiki, ślady krwi na murawie, i tuż przy tem trawę tak przygniecioną, że wyraźnie było widać że ktoś na niej leżał.

Baum ze drżeniem podniósł trzewiki, lecz ręka jego silniej jeszcze zdrząła, kiedy zrywał kwiatek w którego kielichu dostrzegł kroplę świeżej jeszcze krwi.

— Jeżeli się utopiła, to skądże ta krew? Skąd się tu wzięły te trzewiki, tak daleko od miejsca w którym Tomasz znalazł kapelusz? Znac także tyle śladów nóg obutych w grube trzewiki. Czyżby Irma została zamordowana? Czyżby brat jego...

Nie żyje — to rzecz prawie pewna, pomyślał Baum; na dowodach mi nie zbywa, choćbym więc oskarżył Tomasza, na nicby się to nie zdało. Kwiatek krwią zroszony włożył w list Irmy, podpisany: „Do mego przyjaciela,“ i wraz z żandarmem wszedł do oberży, w której tego samego dnia rano, znajdowała się Walpurga ze swoją rodziną.

Żandarm zaczął się znów wypytywać o piękną panią w błękitnej amazonce. Gospodyni zdrząła. Czyżby to chodziło o tę obłąkaną dziewczynę którą widziała w towarzystwie wieśniaków? Kobiety biegły w tę i ową stronę, wynosiły ubranie, a nieznamoma tak jakoś dziwnie, tak niezwykle wyglądała.

— Ty wiesz coś o niej, zawołał żandarm, bystro patrząc się na gospodynię. Mów zaraz!

— Nic nie wiem, odpowiedziała; czego chcecie odemnie? Czyż powiedziałam choć jedno słowo? Gospodyni bała się aby jej nie kazano czynić zeznania przed sądem, i dla tego zataiła swoje domysły.

Baum przekonał się teraz, że postąpił nieuczciwie przybierając do swych poszukiwań żandarma; obecność jego przerażała ludzi, którzyby mogli dać jakie objaśnienia; oddalił go, i postanowił działać bez niczyjej pomocy. On także był przekonany, że gospodyni mogłaby mu dopomóc w odszukaniu śladów Irmy; starał się wybadać ją zrećnie, lecz napróżno, gdyż widziała go przed chwilą w towarzystwie żandarma, i mileżała uparcie choć Baum pokazał jej swoje herbowe guziki, i oznajmił że należy do służby dworskiej.

Nagle przyszło mu na myśl, że Walpurga mięszka nad jeziorem. Irma była zawsze przyjaciółką wieśniaczki, kto wie czy się u niej nie ukryła.

Przed oberżą stała jeszcze wielka łódź przymocowana do brzegu; Baum wsiadł do niej, wprowadzono Plutona, a jakiś biedak, który zebrał sobie trochę siana na stromych pochyłościach brzegów, prosił aby go mógł przewieźć na drugą stronę. Baum zezwolił, kazał natychmiast odbijać od brzegu, a czując się nadzwyczaj znużonym, położył się na sianie.

Skoro już odbili od brzegu, zapytał przewoźników, czy czasem nie słyszeli o tem że się ktoś w tych dniach utopił.

Właśnie dziś rano, odpowiedzieli, widzieliśmy głowę ludzką wynurzającą się z wody. po długich czarnych czy ciemnych włosach, można było poznać że to głowa kobiety.

Baum zerwał się szybko i błędnym prawie wzrokiem przebiegł gładką powierzchnię jeziora.

— Jeżeli pan zechce poczekać trochę, rzekł starszy przewoźnik, to zapewne za trzy dni, jezioro wyrzuci na brzeg zwłoki.

Baum nie słuchał już więcej, zobaczył czy ma jeszcze w kieszeni list ze skrwawionym kwiatkiem, położył się znów na sianie, zasnął, i przebudził się w ten czas dopiero, kiedy łódź przybiła do brzegu.

Nie miał już potrzeby udawać się do Walpurgi, pojechał jednak do jej chaty, chcąc okazać że nie zaniedbał niczego. Zapukał do drzwi, nikt nie odpowiedział. Zajrzał przez okno, czy jego spotkały się z błyszczącymi oczami kota, siedzącego na oknie; był to jedyny mieszkaniec domu z którego nawet sprząty wyniesiono. Baum nie wiedział co myśleć; wyszedł do ogrodu, tylko sroki skrzeczały na wiśni do połowy ogołoconej już z liści. W końcu spostrzegł człowieka idącego drogą; był to krawiec Schneck, Baum poznał go od razu.

— Hola! przyjacielu krzyknął, co się stało z Janem i Walpurgą?

— Wyjechali, mieszkają po tamtej stronie jeziora, gdzie kupili sobie wielką wolną fermę.

Krawiec lubił roznosić nowinki, i ciekawy był dowiedzieć się po co przybył lokaj królewski. Lecz Baum nie wdawał się w rozmowę, wsiadł na konia i pojechał drogą wodącą do królewskiego pałacu.

Droga wydawała mu się długą i nużącą; nie raz sądził iż mu się tylko śniło, że znalazł kapelusz i trzewiki hrabianki, i dotykał ich ręką, aby się przekonać że posiada rzeczywiście, te tak drogie dla

siebie skarby. Jakkolwiek był utrudzony drogą i bezsennością, czuł że ten wypadek może być dla niego bardzo korzystnym; jest to jakby pierwszy szczebel, za pomocą którego, będzie mógł wzniesć się wyżej. Odtąd zostanie powiernikiem króla, będzie mógł opowiedzieć mu całe to zdarzenie; — król bezwątpienia wdzięczny mu będzie i wynagrodzi po monarszemu. Pierwszy lokaj królewski jest już stary i słaby, Baum z pewnością zajmie jego miejsce. Może byłoby lepiej gdyby można było powiedzieć, że Irma została zamordowana? — Żandarm jak wyżej idący za tropem, trafił na poszlaki. Nie, lepiej o tem zamilczeć, wszak tu idzie o brata. — chociaż prawdę mówiąc, Tomasz nicby na tem nie stracił, gdyby go do śmierci żywiono w więzieniu. Ale nie, Baum nie będzie tak nieuczulym bratem. Co więcej, przyrzeka w duszy, że jeżeli zostanie pierwszym lokajem, będzie pamiętał o matce i Tomaszu. Był to jakiś rodzaj targu z Bogiem; jeżeli mu Opatrzność dopomoże, to on obiecuje się poprawić.

Jechał całą noc, na ostatniej stacyi wziął pocztę; gdy nad ranem przyjechał do pałacu, za ledwie go rozbudzono, z początku sam nie wiedział gdzie się znajduje. W dziedzińcu stał powóz zaprzężony w najpiękniejsze konie z królewskiej stajni; Baum nie mógł nawet zrozumieć co do niego mówił strzelec stojący przy nim; był tak znużony że z trudnością zdołał wejść na schody, gdyż nogi mu prawie posztywniały. W przedpokoju zastał starego lokaja królewskiego, który zażywszy tabaki, podał mu rękę na powitanie; Baum upadł prawie na krzesło, i prosił aby go jak najspieszniej wpuszczono do jego królewskiej mości.

— Teraz nie podobno, musisz poczekać.

Baum czynił co tylko mógł aby nie zasnąć, pomimo to oczy gwałtem mu się zamykały, i kilka razy o mało nie spadł z krzesła.

II.

Król już był w swym gabinecie. W każdej porze roku brał rano zimną kąpiel, potem ubierał się na cały dzień i był już gotów do pracy i zabawy. Teraz miał na sobie ubiór myśliwski.

Gabinet króla był obszerny i bardzo wysoki. Stały w nim szafy z książkami, mappy porozwieszane były na ścianach, a prócz tego mieściły się tam różne pamiątki starożytne, które król nabył, podróżując jeszcze jako następcę tronu. Meble były dębowe, w stylu odrodzenia; na wielkim stole leżały papiery i wszystko co może być potrzebne do pisania.

Znajdowała się tam także piękna akwarella, przedstawiająca królowę, kiedy była jeszcze narzeczoną króla; w głębi obrazu widać było zamek jej przodków.

Król zadzwonił, wszedł tajny radca, podał mu papiery które król natychmiast podpisał. Skoro wyszedł, król zadzwonił drugi raz:

— Czy kto jeszcze czeka w przedpokoju? zapytał.

— Lokaj Baum, najjaśniejszy panie.

— Niech wejdzie.

Baum był teraz pewny swego wyniesienia. Król nie kazał mu zdać sprawę z powierzonego mu zlecenia przed którym z szambelanów, rzekł tylko „niech wejdzie.“ Król chce rozmawiać z nim bez świadków, Baum uzyskał już godność powiernika.

— Czy masz list? zapytał król.

— Nie, najjaśniejszy panie!

— Cóżś przyniósł?

— Najjaśniejszy Panie, rzekł Baum, rozwiązując zawiniątko które położył na krzesło: kapelusz hrabianki Wildenort znalazłem w jeziorze, a trzewiki jej w krzakach nad brzegiem.

Król wyciągnął rękę do zawiniątka, lecz cofnął ją natychmiast i położył na sercu, spoglądając na Bauma błędnymi oczyma.

— Co to znaczy zapytał? przesuwając ręką po czole.

Najjaśniejszy Panie, rzekł Baum drżąc z przerażenia, spostrzegłszy głębokie wzruszenie króla — najjaśniejszy panie, hrabianka miała na sobie te rzeczy kiedy wyjechała ze mną konno, i uciekła...

— Uciekła? i...

— Wczorajszej nocy, mówił Baum półgłosem, nie onegdaj w nocy, hrabianka utopiła się w jeziorze; rybacy widzieli zwłoki kobiety miotane falą; jutro zapewne jezioro wyrzuci już nad brzeg ciało...

Król skinął ręką, jakby chciał powiedzieć „nie mów więcej”; oparł się na poręczu fotela i prawie z rozpaczą spoglądał na trzewiki i kapelusz.

Baum spuścił oczy i ręką zasłonił usta, — czuł że król na niego patrzy, nie podniósł jednak oczu. pilnie wpatrywał się w posadzkę, — i zdawało mu się że ta posadzka porusza się pod jego stopami, podnosi go coraz wyżej i stawia przy boku króla. Gdy król zaczął chodzić po pokoju, Baum niżej jeszcze pochylał głowę, podniósł ją dopiero gdy król zatrzymał się przed nim, i zapytał:

— Zkąd wiesz że to było samobójstwo?

— Ja nic nie wiem. Jest tak jak w. k. mość rozkaże. Jeżeli w. k. mość nakazuje, aby hrabianka utopiła się...

— Ja? co ty mówisz?

— Najpokorniej proszę w. k. mości, aby mi wolno było opowiedzieć....

— Dobrze, opowiedz wszystko.

Król mówi do Bauma: ty, — jest to łaska której doznają tylko ulubieńcy.

— Najjaśniejszy panie, rzekł Baum, trzewiki ja sam znalazłem, ale kapelusz oddał mi człowiek którego wszyscy posadzają... żandarm mówił... byłoby to może nawet z korzyścią dla tego człowieka... za rok możnaby go ułaskawić i posłać do Ameryki... ma brata... który... tam...

— Nie rozumiem, mów jaśniej.

Baum starał się odzyskać zimną krew.

— Człowiek kilka razy karany za kradzież zwierzyny, mówił dalej, mógłby także zamordować hrabiankę; ale na nieszczęście hrabianka Wildenort napisała list do królowej...

— Do królowej? gdzie jest ten list? pokaż go!

— Nie mam; list ten wydarła mi panna służąca.

Król usiadł. Długo głębokie panowało milczenie; w końcu król wstał i zbliżył się do Bauma który zadrżał, jak gdyby miał usłyszeć wyrok stanowiący o jego życiu lub śmierci; poprawił chustkę na szyi, wyraźnie go coś dusiło.

— Czy wiesz co było w liście pisanym do królowej?

— Tak, najjaśniejszy panie, było tylko kilka słów.

— Jakich?

— Słowa te wyrażały, że hrabianka chce śmiercią okupić swą winę, i prosi najjaśniejszej pani o przebaczenie.

— List był otwarty?

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Nie masz nic więcej.

— Wybacz, najjaśniejszy panie, mam jeszcze list który zdołałem ukryć przed służącą; przysięgam że nie czytałem całego, zresztą w wielu miejscach pismo jest zupełnie nieczytelne. Prócz tego, w miejscu gdzie leżały trzewiki, były ślady krwi, i tam zerwałem ten kwiatek zroszony krwią hrabianki.

Z piersi króla wydarł się jęk głuchy i bolesny; wyszedł do przyległego pokoju unosząc z sobą list i kwiatek. Baum czekał nie śmiejąc się poruszyć.

Król przeczytał, i tęż popłynęły mu z oczu. Ona mnie tak szczerze kochała, — żadna na świecie kobieta nie dorówna jej pięknnością i szlachetnością duszy, wyszeptał drżącymi ustami. Odczytał list Army, a kiedy już zdołał zebrać myśli, spostrzegł, że sam nie wiedząc o tem, ukląkł i wsparł się na krześle.

Co teraz czynić? Przypomniawszy sobie że Baum czeka w gabinecie. Uczuł jakiś rodzaj upokorzenia, że musi wziąć tego człowieka za powiernika. A przecież tyle osób rozmaitego stanu, są już tak dawno powiernikami jego uchybienia, — znają je i milczą.

Jakże teraz będzie mógł zbliżyć się do królowej? Gdyby mogła odgadnąć jego żal i boleść, z płaczem rzuciłaby się w jego objęcia, — ona jest tak dobrą... tak dobrą jak anioł, — a jakżem jej się za to odwdzięczył?

Chciał przesłać królowej ostatnie słowa swój przyjacielki; chciał napisać że odtąd ona będzie jedynym przedmiotem jego uczuć i myśli, że wiecznie pozostanie jej wiernym. Lecz jakże się ośmielił mówić o wierności?...

Lepiej nie przedsiębrać nagle żadnego stanowczego kroku, pomyślał, i powstawszy przyzwalał na pomoc całą siłę swego charakteru. Trzeba umieć z godnością przetrwać najcięższe próby, nawet żal za popełnione błędy... wszakże tylu innych doświadczało przed nim tego, co go dziś spotkało...

Król zapomniał już że przywdział ubiór myśliwski, i kiedy spojrział przypadkiem w wielkie stojące lustro, drgnął jakby nagle zobaczył kogoś obcego.

Twarz jego była blada, oczy od łez czerwone. Gorzko opłakiwał stratę swjej ukochanej przyjaciółki; ale dość już tego, wielkie i silne natury nie poddają się długo żalowi, bo w jednej chwili przeboleją całe lata cierpień... Mozaaby sądzić, że lata upłynęły od chwili w której odebrał tak straszną wiadomość, gdyż powiedział już sobie: — wspomnienie Army będzie zawierać w sobie najmiłszą, najpiękniejszą życia mego cząstkę...

Przypomniał sobie że Baum czeka w gabinecie, i przykro mu było że nie może mieć nawet godziny czasu, w którejby mógł cierpieć w milczeniu, i po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że kto wielu rozkazuje, liczne także ma do spełnienia względem nich obowiązki.

Myśl ta musiała wydobyć się z listu Army, jak woń wydobywa się z kwiatu, gdyż król sam nie wiedział, zkąd tak nagle przyszedł mu ten względ na innych.

Wrócił do gabinetu, Baum stał ciągle na jednym miejscu.

— Musisz być zmęczony, rzekł król do niego.

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Idź więc i odpocznij sobie, jeśli jeszcze masz co do powiedzenia, to przyjdiesz jak będę sam, — czy rozumiesz?

— Rozumiem, najjaśniejszy panie, dziękuję najpokorniej w. k. mości.

— Jesteś ożeniony.

— Byłem, najjaśniejszy panie.

— Masz dzieci?

— Jednego tylko syna.

— Dobrze. Bądź gotów, wkrótce otrzymasz moje rozkazy.

Baum wyszedł. W przedpokoju już zdążył zawołać do pierwszego lokaja: nie wstawaj, — i wyszedł śpiesznie. Nikt z oczu jego nie powinien odgadnąć, że król mówił do niego *ty*, że pytał o jego rodzinę, że Baum został powiernikiem króla, i może być pewnym prędkiego wyniesienia.

Król pozostał sam. Siedział długo z oczami wlepionymi w kapelusz i trzewiki Army. Jakież to udatny przedmiot do poematu! Kochankowi odnoszą kapelusz i trzewiki zmarłej kochanki, — piosenkę tej treści najtęskniej byłoby nucić o zmroku... Pochwylił drżącą ręką te świadectwa śmierci i schował je do bórka. Póro przypięte do kapelusza zła-mało się gdy zamykał szufladę.

Na stole stała zapalona świeca, król zapalił od niej cygaro i zadrżał rzuciwszy okiem na akwarellę przedstawiającą królowę. Palik cygaro z widocznym rozdrażnieniem, po chwili zadzwonił, rozkazując aby przywołano marszałka dworu, i prócz niego nie wpuszczano nikogo.

III.

Kiedy marszałek dworu wszedł do gabinetu, król już ułożył sobie plan postępowania.

— Czy panu już znany ten straszny wypadek?

— Tak, najjaśniejszy panie; panna służąca hrabianki przyjechała, pani jej utonęła w jeziorze.

— I?... zapytał król, widząc że marszałek zaciął się w mowie.

— I, dodają że po śmierci ojca nikt już nie widział hrabianki. Zostawiła kilka wierszy zaadresowanych do jej k. m. z rozkazem aby doktor Gunther oddał jej królowej.

— I uczyniono to, nie uprzedziwszy mnie pierwój? — Marszałek wzruszył ramionami.

— Tak, wiem — odpowiedział król. Czy wszystko gotowe do wyjazdu na polowanie?

— Już od godziny, najjaśniejszy panie.

— A więc jadę, rzekł król. Poślij pan doktora Sykstusa nad brzeg jeziora, niech weźmie z sobą urzędnika sądowego i lokaja Bauma, który już zna dobrze wszystkie szczegóły tego nieszczęśliwego wypadku; niech także pamięta, aby ciało, jeśli go znajdą, było pochowane z wszelką przyzwoitością. Wiem zresztą że pan *sam przez się* czuwać nad tem będziesz.

Król położył nacisk na wyrazy „sam przez się” gdyż chciał aby wszystko zrobiono, nie odwołując się do niego.

Marszałek skłonił się w milczeniu.

Król wstał, zmarszczył brwi jakby sobie chciał przypomnieć coś co mu wyszło z myśli.

— Potem, dodał śpiesznie, zawiadomisz pan o tym wypadku brata nieszczęśliwej hrabianki, a gdy-

by chciał wyjechać, udzielisz mu urlop nieograniczony.

Król wyszedł z pałacu. Wczoraj wieczorem pożegnał już królowę.

Na dziedzińcu pałacowym, król odpowiedział przyjaznym ukłonem na ukłony osób należących do jego orszaku. W jednej chwili ściągnięto kapy z koni zaprzęgniętych do powozów.

— Pułkowniku Bronen, zawołał król, siadaj z mną.

(d. c. n.)

Korespondencja z Paryża.

Nagły przewrót dopełnił się w kroju sukien. Rogówki prababek naszych, które nam tak śmieszne wydawały się na starych portretach, odzyskały wziętość, jaką miały blisko przed wiekiem. Elegancka dzisiejsza w sukni bufiastej koło bioder, zwężonej u dołu, obwieszona mnóstwem festonów, frendzli, koronek, wolantów, w maleńkim kapelusiku, przytwierdzonym fantastycznie do upiętrzonej fryzury, w trzewiczkach na wysokich, częstokroć kolorowych obcasach, przypomina zupełnie modną damę z czasów Ludwika XV lub XVI. Czy dobry smak zyskał na takim oddaleniu się od prostoty, rzecz to bardzo wątpliwa, trudno jednak płynąć przeciwko wodzie; trzeba przyjąć rogówki, angażanty i robiony, dopóki moda nie wymyśli coś nowego, zgodniejszego z pojęciem prawdziwej estetyczności. Ostrzegamy tylko czytelniczki nasze, aby się strzegły wszelkiej przesady w panującej dziś modzie, i starały się modyfikować ją o ile tylko można. Moda bowiem sama z siebie śmieszna już i dziwaczna, o ileż się staje śmieszniejszą, jeśli nie zastosowana do wieku, postawy, tuszy i innych podobnych względów. Paryżanki znają sztukę takiego zastosowania, i dla tego żadna z nich nie jest nigdy niewolnicą mody, ale każda umie nad nią panować, biorąc z niej to tylko, co sądzi dla siebie odpowiednim.

Suknie dzisiejsze roznieśiste poniżej stanu, u dołu zaś umiarkowanej szerokości, potrzebują falbanek na zakończenie. Mówimy tu szczególnie o sukniach letnich, muszlinkowych, baretowych, albo z jakiegokolwiek bądź lekkiej tkaniny z wełny, mięszanej z jedwabiem. U dołu też dają zwykle szeroki wolant, albo trzy falbanki rozmaitej szerokości fałdowane w rurki, zwane po francuzku *tuyaux d'orgues*. Na to idzie angażant, to jest otwarta spódniczka, nie schodząca się z przodu, pokrywająca tylko tył sukni. Angażant ten bywa niekiedy taki sam jak pierwsza spódniczka, niekiedy też w bledszym odcieniu, albo w paski, rzucik i t. p. Ogarniowany jest w koło falbanką, plisą, lub wodą, podpinany po bokach na rozety. Często przez środek ściągają go na tasiemkę, tak że wyższa część jego spada na niższą, tworząc tak zwany podwójny angażant. Ściągnięcie to robi się w taki sposób: Bryty angażanta krajają długo, tak żeby rozpuszczone powłóczyły się mniej więcej po ziemi. Przez środek w poprzek przyszywają się rzędem kółka (naturalnie podspodem). Plecionka przeciągnięta przez owe kółka i związana, podnosi angażant i dzieli go na dwie części spadające jedna na drugą. W pokoju można rozciągnąć plecionkę, wówczas angażant staje się powłóczystym nakształt dworskiego płaszcza. Stanik do takich sukien, zazwyczaj bywa przymarszczony, tak z przodu jak i na plecach, przepasany szarfą ze spadającymi na tył końcami.

Do najmodniejszych kolorów w tym roku należą, jasno niebieski, zwany *bleu de midi*, i szary zwany *wigoniowym*. Jest to naturalny kolor tego zwierzątka popielato-kasztanowaty.

Widzieliśmy piękne ubranie letnie w tym kolorze. Była to suknia okrągła (*robe ronde*), to jest sięgająca do ziemi, przybrana u dołu trzema falbaneczkami. Na to szedł angażant z czarnej grenadyny jedwabnej, ogarniowany koronką czarną, podpinany w festony kokardami ze wstążki czarnej atłasowej. Stanik z materji w kolorze wigoniowym, marszczony w koło, spinał się na szmuklerskie guziki. Na zarzucenie służyła mantyla *Vatteau*, w nowym zupełnie rodzaju. Mantyla ta składała się ze zwyczajnego karczka z materji czarnej, zasianego pacierczkami z lawy. W koło karczka szła bogata frendzla przerabiana też lawą. Z pod frendzli spa-

dał szeroki wolant, a raczej szalik koronkowy, przytwierdzony w poprzec trzema fałdami: końce od tego szalika, tworzyły z przodu dwie szarfy skrzyżowane na piersiach, i obciśnięte paskiem. Ubranie to pochodziło ze sławnej pracowni Worsta, który dostarcza sukien cesarzowej Eugenji.

Inny kostium, skromniejszy od poprzedniego, z lekkiej tkaniny z wełny i jedwabiu, mienionej w kolorach brązowym i zielonym, miał spódnice do ziemi o pięciu falbankach, zakończonych prostym obrębkiem. Na to szedł angażant ogarniowany ruszką, podpięty na festony w tyle i po bokach. Stanik marszczony przepasany szarfą z tegoż samego materiału, dopełniał ubrania. Końce szarfy ogarniowane były ruszką, miejsce kokardy zastępował karoczek sfaldowany na trzy kontrafałdy.

Opis deseni do haftu.

N. 1, 2, 3 i 4. Kołnierzyki stojące i mankiety do nich. Haft atłaskowy; ząbki dziergane.

N. 5. Końce do kołnierzyka pod N. 1. Haft atłaskowy, drobny stembenek i pęczki wypukłe.

N. 6 i 7. Szlaki do batystowych chustek od nosa.

N. 6. haftuje się nad gładkim obrębem, dając w liściach ażurową kratkę.

N. 8 i 9. Garnirunki do białych spódnicy.

Wszystkie garnirunki tak przyozdabiające spódnice, robią się osobno i przyszywają do całości z dodaniem jednej lub kilku zakładek. Składają się one z drobnych zakładek, przystębnowanych pasków, co przy maszynach bardzo prędko wykonywa się, z deseni haftowanego atłaskiem, wyszycia łańcuszkowego lub sutaszowej pletni. Szlaki te w naturalnej wielkości przedstawione, dokładne dają wyobrażenie, jakiej wielkości powinny być zakładki i pliski przystębnowane. N. 8 zakończają drobnymi ząbkami ze składanej tasiemeczki.

N. 10, 11, 12 i 13. Szlaczki do bielizny.

N. 14. Część podstawki pod lampę. Całość tej patarafka i opis umieszczone były w dodatku z drzeworytami przy numerze 27 Tygodnika Mód.

N. 15. Gwiazda do środka podstawki pod lampę.

N. 16. Garnirunek do paletotów i sukien; złożony z przystębnowanych plisek i ząbków atłaskowych.

N. 17. Kołnierzyk wykładany z deseniem na haft atłaskowy. W miarę objętości szyi zwiększa lub zmniejsza się kołnierzyk w samym środku, aby kształtu nie zepsuć.

N. 18. Rękawek odpowiedni.

N. 19. Szlak na białą spódnice nad gładkim obrębem.

N. 20. Narożnik do chustki od nosa.

N. 21. Korona do znaczenia chustek od nosa.

N. 22. Litery do znaczenia poszewek i prześcieradeł.

N. 23. Alfabet mniejszych liter.

N. 24 do 33. Litery do znaczenia bielizny.

N. 34. Imię „Marja“ do znaczenia chustki od nosa.

N. 35 i 36. Bukieciki do krawatek muslinowych.

Opis paletota, sukienki dla dziewczynki i paletota dla panienki od 6—8 lat,

Paletot dla dorosłych osób.

N. 1. Przód (Jedno założenie formy)

N. 2. Połowa pleców.

N. 3. Połowa kołnierzyka.

N. 4. Rękaw.

N. 5. Całość paletota.

Paletot z jasno-popielatego „diagonalu“, ma wokoło, na ranwersie i rękawach 2¹/₂ cent: szerokie obłożenie z czarnej materji. Prawy przód zakładający się na wierzch, zaokrąglony jest trochę u dołu; na całość, potrzeba 256 cent: materiału liczącego 130 cent: szerokości.

Podług N. 1 kraja się oba przody, prawy podług konturów N. 1, lewy, do linii gładkiej idącej od gwiazdki. Podług N. 2 kraje się jedna część w ca-

łości, podług N. 4 obydwą rękawy, uważając na kontur spodnich jego części. Przody, podszywają się z brzegów pasem wierzchniego materiału, tak szerokim u góry, żeby mógł stanowić podszycie czyli późniejsze wyłożenie, podług kropkowanej liniiki załamanej ranwersu. Spoiwszy stosownie do odpowiadających liter plecy z przodami, trzeba E na E, i F na F. trafiając, połączyć paltot z kołnierzykiem, podług N. 3 w dwóch połowach skrojonym. Następnie rozcina się w plecach od dołu do gwiazdki rozperek, którego brzegi, wązko wyłożone na prawą stronę, przytwierdzają się wspomnianym pasem czarnej materji, białym sutaszem z obu stron naszytym. Ranwers równie czarną materją przybrany, przyczepia się po wyłożeniu kilkoma ścięgami do przodów jako też kołnierzyk wzdłuż załamanej linii. Przyszywszy na lewym przodzie przypadające guziki, na prawej części wypada z samego brzegu porobić dziurki, przecinając zarazem pas czarnej materji. Każdy rękaw, razem od G, do H, i od I. do K, zeszyty, podszywa się u dołu ukosem wierzchniego materiału, ubiera podług ryciny i wszywa w pachę, uważając aby K. na H. przodów przypadło.

Ubranie dziewczynki od 5. do 7. lat.

N. 6. Połowa przedniej części spódnicy.

N. 7. Pierwszy klin.

N. 8. Drugi klin.

N. 9. Połowa tylnej części spódnicy.

Spódnica i paltocik z brązowo popielatego kretonu, odznaczają się tem że kliniasta spódnica, muslinem podszyta, układa się z tyłu w duże kontrafałdy i ma u dołu cokolwiek przymarszczoną w zęby wycinaną falbanę, przszytą na sukni ukosem wierzchniego materiału. Można wiaść do tego taką samą bluzkę, albo inną białą z muslinu, półbatystu albo kolorowego perkalu. Weinany paltot, ze spiczastymi, założonymi na krzyż przodami, ozdabia także w zęby wyciętą falbanę, przszytą ukośną pliską z tego samego materiału. Zapięcie paska z tyłu, pokrywa kretonowa rozetka, z dość szeroką szarfą. Podług N. 6 i 9, przykroić trzeba z materiału i muslinu na podszewkę, po jednej części w całości, podług N. 7 i 8 po dwie jednakowe części, uważając, żeby nitki materiału, wypadły w oznaczonym położeniu. Przyfastrzygowane części wierzchu na muslinowych brytach podszewki, spajają się, podług odpowiednich liter. Łącząc bryty, N. 6 i 7 zostawia się od gwiazdki do górnego brzegu wypadający rozperek, brzeg bryta N. 6, załamuje się pod spód i podszywa paskiem 2 cent. szerokim, brzeg N. 7, wszywa się między podwójną 3 cent. szeroką listewką, która pod przedni bryt zachodząc przymocowywa się u dołu w poprzek do bryta N. 7. Następnie należy dolny brzeg podszyć 2 cent. szeroką skośną listwą wierzchniego materiału, i ubrać podług ryciny, falbaną 7 cent. szeroką, wyciętą w zęby, obejmowaną wązkim ukosem, i cokolwiek w górze przymarszczoną. Skos, przszyty marszczek falbany pokrywający, daje się podwójny 1 i pół cent. szeroki, i przszyty przez sam środek stębnówką brązowego jedwabiu. Zfałdowana spódnica w górze tylnego bryta, wpuszcza się między brzegi, podwójnie złożonego 3 cent. szerokiego paska wierzchniego materiału, któremu dodają się haftki na zapięcie.

Paltot do ubrania dziewczynki od 5 do 7 lat.

N. 10. Przód.

N. 11. Bok.

N. 12. Plecy.

N. 13. Połowa kołnierzyka.

N. 14. Rękaw.

N. 15. Całość sukienki z paltociem dla dziewczynki od 5 do 7 lat.

Na paltot, krajać trzeba z wierzchniego materiału, podług N. 10 do 12 po dwie jednakowe części, podług N. 13 kołnierzyk w całości, podług N. 14 po dwie części na każdy rękaw z osobna. Zeszyte przez środek plecy, łączą się podług liter z pozostałymi częściami, dodając z brzegu przodów na spód 1 cent. szeroką skośną listewką wierzchniego materiału, wokoło zaś taką 2 cent. szeroką, i naszytym garnirunkiem tak jak wskazuje rycina. Kołnierzyk ubiera się w koło brzegu wązkim ukosem, i przyszywa do paltota żeby gwiazdka jego i kropka podwój-

na na podobne znaki paltota trafiły; przszytą do pokrywa się po drugiej stronie ukosem. Obidwie części rękawa od W do X i od Y do Z łączone podszywają się u dołu ukosem materiału, ubierają z wierzchu 3 ukośnemi pliskami i wszywają w otwór pachy, uważając aby Z na Z przodów przypadło. Pasek 5 cent. szeroki, wymaga sztywnego podkładu i perkalowej podszewki. Kokarda i szarfy robią się z 8 cent. szerokich ukosów obrabionych w koło, i ubranych przez środek przestębnowanemi 1 cent. szerokimi skośnemi pliskami.

Paltot z kapturkiem dla dziewczynki od 6. do 8. lat.

N. 16. Przód.

N. 17. Połowa pleców.

N. 18. Przód kapturka.

N. 19. Połowa pleców kapturka.

N. 20. Rękaw.

N. 21. Całość paletocika z kapturkiem dla dziewczynki od 6—8 lat.

Zwyczajną, luźną formę paletocika, bardzo przyozdabia mała czworograniasta pelerynka w rodzaju kapturka. Model nasz, z jasno brązowego weluru ubiera brązowa aksamitka 1¹/₂ i 2 cent: szeroka wraz z brązowemi jedwabnemi kwastami, podług wskazówek ryciny. Na całość potrzeba 91 cent: materiału, 133 cent: szerokiego.

Krajać trzeba podług N. 16. i 18. po dwie jednakowe części, podług 17. i 19. po jednej w całości, podług N. 20 po dwie części na każdy rękaw, mając na uwadze spodni jego kontur. Złączywszy stosownie do odpowiadających liter przody z plecami, ubiera się je podług ryciny i narysowania aksamitką, i podszywa brzeg w około 3 cent: szerokim ukosem lustryny. Przyrządzone podług N. 20 i garnirunkiem przybrane rękawy, łączą się podług liter i wszywają w otwór pachy. Wzdłuż linii podanej na N. 16 i 17 i odpowiednio do liter, przszyć na paletocie, spojony i ozdobiony aksamitkami kapturek. Nakoniec lewy przód, podszywa się 12 cent: długą — a 3 szeroką ukrytą listewką materiału, dodając parę haftek na zapięcie przodów.

Od lat kilkunastu istniejący *Magazyn Strojów damskich Marji Mareńskiej*, w domu Pani Flatau, przy ulicy Rymarskiej pod Nrem 471 lit. g, przeniesiony został z bieżącym kwartałem, na pierwsze piętro do domu W Wache, przy ulicy Rymarskiej, N 740, nad cukiernią p. Heibergera. Powyższy Magazyn jak poprzednio, zaopatrzony będzie w najnowsze modele, oraz wszelkie obstalunki wykonywać będzie jak najakuratniej, polecając się szanownym damom. *Marja Mareńska*.

4703—(10, 663)

W Redakcji *Tygodnika Mód* i we wszystkich księgarniach, są do nabycia następujące powieści:

Macocho oryginalnie napisana przez Paulinę Wilkońską. Cena kop: 60:

Mrowin i Trock przez Paulinę Wilkońską. Cena rs 1.

Pan de Camors powieść Feuilleta, tłumaczona przez Joannę Belejowską. Cena rs 1.

Pamiętnik młodej mężatki przekład Joanny Belejowskiej rs 1.

Marja Teressa w Węgrzech powieść historyczna, przełożona przez Sewerynę Pruszkową. Cena kop 75.

Korespondencja

Pani Gabryeli z Zarzecza. Każdą pracę tak oryginalną jak tłumaczoną chętnie przyjmujemy byle tylko odpowiadała celowi naszego pisma. Obok jednak szlachetnej dążności, winna się zalecać artystycznym, a jak w powieściach i dramatycznym obrabianiem, na co zwróconą być winna szczególna bacność.

Do numeru dzisiejszego dołączony arkusz z deseniami do haftu, oznaczony Numerem 17 oraz kroje-